

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 16 MARCA 1929 ROKU

NR. 11

TREŚĆ NUMERU: 200.000 dzieci bez szkoły—*Stefanja Podhorska-Okolów*. Cyfry mówią—*M. Mossoczowa*. Poezje: „Katedra“ — *M. Czerkawska*. List do Kraju — *Felicja Kruszevska*. Skłamanie szczęście (c. d.)—*M. H. Szpyrkówna*. Anna Bilińska — *Aurelja Wyleżyńska*. Wystawa pośmiertna ś. p. Noakowskiego w „Zachęcie“—*I. j.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Kobieta w świecie i w domu. Nasze wnętrza, a rozwój polskiego przemysłu artystycznego — *Jadwiga Kieronarska*. Praktykantki w gospodarstwach miejskich i wiejskich—*M. Karczevska*. Kursy ogrodniczo-pszczelnicze — *Pani Elżbieta*. Jak przyrządzać grzyby na potrawę—*Feliks Teodorowicz*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Kwiaty i zwierzęta—*Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Tablica kroju.

200.000 DZIECI BEZ SZKOŁY

„W latach 1929-30 około 200.000 dzieci nie będzie mogło korzystać z nauki z powodu niedostatecznej liczby szkół. „Na papierze“ — 200.000. W rzeczywistości — conajmniej 300.000“.

Trzysta tysięcy główek dziecięcych bez światła! Gdyby całą tę dzieciarnię zebrać razem, powstałaby armja małych analfabetów, przyszłych rycerzy ciemnoty — groźniejsza dla państwa od wojny gazowej i wymyślnych pocisków wroga. Trzysta tysięcy małych mózgów, pozostawionych samym sobie, albo domorosłemu sylabizowaniu, które, jak wiadomo, utrudnia i paczy właściwy system nauczania. Trzysta tysięcy! To cały gród uczniów bezdomnych, dla których zabrakło miejsca w szkole powszechnej. Miejmy nadzieję, że za rok, za dwa — stan rzeczy radykalnie się poprawi, że gmachy szkolne po miastach wyrosną, jak grzyby po deszczu, a w każdej wsi znajdzie się choćby schludna chałupa na przytulenie skromnego, jak kaganek, ogniska oświaty. Miejmy nadzieję! Ale samą nadzieją żyć nie można, gdy setki tysięcy dzieci rośnie, jak dziczki w polu, po wsiach wałkoniąc się latem przy pasionce, zimą przy skrobaniu kartofli i podkładaniu na ogień, a w mieście trawiąc dnie całe na granii w guziki, lub karty, sprzedawaniu gazet i płataniu psich figlów przekupkom, a noce na pokątnej sprzedaży papierosów, potajemnym wyszytku alkoholu, lub, co najohydniejsze, na usługach prostytucji.

Musimy sobie zdać sprawę z grozy położenia, jakie stwarza pozostawienie dzieci proletariatu bez należytego kierunku. Powie ktoś może, że szkoła wszechstronnie nie zaradzi złemu, że daje ona naj-

częściej tylko pewną sumę wiadomości, z których drobna zaledwie część zostanie przez ucznia przyswojona; że szkoła nie zastąpi wychowania domowego; że złego dziecka nie poprawi, a dobre może zepsuć się przez towarzystwo kolegów; że wreszcie wobec przepełnienia oddziałów z konieczności posługuje się szablonem w nauczaniu — to wszystko jest prawda, ale te zastrzeżenia mają wartość tylko wobec dzieci inteligencji, natomiast upadają stanowczo i nieodwołalnie, skoro chodzi o dzieci proletariatu.

Dziecko ze sfer inteligentnych, materialnie choćby najbardziej upośledzonych, otrzymuje prymitywne wiadomości zwykle w domu, zresztą kształci się moralnie, umysłowo i duchowo przez samo obcowanie z rodzicami, którzy samorzutnie nadają kierunek jego ogólnemu rozwojowi. Szkoła ze swym programem, systemem, karnością, życiem koleżeńskim — przychodzi jako uzupełnienie tego, co dał dom i rodzina, rzuca zasiew na rolę w kulturze, zastaje materiał już obrobiony, tło, na którym można snuć swobodnie przedziwno metody pedagogicznej.

Dla dziecka inteligencji szkoła powszechna ma znaczenie raczej uspołeczniające, przez zetknięcie i współzycie z kolegami innych sfer, niż ściśle wychowawcze. Pod względem zaś umysłowym może dziś jeszcze być doskonale zastąpiona przez nauczanie domowe, umiejętnie i fachowo poprowadzone. Pójście do szkoły dla dziecka z inteligencji nie jest momentem, decydującym o całym jego życiu. Brak jej w anormalnych warunkach głodu mieszkaniowego, albo coraz częstszej konieczności pracowania obojga rodziców poza domem, może się dać dotkliwie uczuć rodzinie

powojennej, ale nie przybiera charakteru katastrofального.

Wręcz przeciwnie, gdy mamy do czynienia z dzieckiem proletariatu. Luka, jaką w jego rozwoju stwarza brak szkoły, jest wylomem w murze cywilizacji, wylomem, przez który do wnętrza organizmu społecznego sączy się jad barbarzyństwa. Klęska podwójna, bo indywidualna i zbiorowa. Dziecko proletariatu bardzo wczesnie wyzwala się z pod opieki rodzicielskiej. Wąrtki potok życia porywa małego człowieka, pojąc go dosyta wszystkimi mętami zepsucia, które na dnie młodocianej duszyczki zostawiają zawsze mechlujny osad, jeżeli nie zatopią jej bezpowrotnie. Dziecko ulicy dorósłaje zbyt szybko. Okres jego dzieciństwa skraca się niemal do niemowlęstwa. Z chwilą, gdy przestaje pelzać, a zaczyna mówić, gorliwie zbiera brukowe pokłosie skandalu. Na rezultat nie trzeba długo czekać: sześciolatek sceptyk z ulicy lepiej nieraz orjentuje się w tajemnicach życiowych od sześćdziesięcioletniej matrony, zapiętej pod szyję w aksamity tradycji.

Dla takiego dziecka szkoła jest naprawdę etapem rozwojowym, punktem zwrotnym na linii jego życia, czasem wprost błogosławioną rewelacją. Posłannictwo szkoły powszechnej polega bowiem nietylko na tem, żeby rozwichrzonej łepetynie zastrzyknąć dobroczynną szczepionkę abecadła, ale żeby z małego anarchisty, nie uznającego innych nakazów, prócz własnej samowoli, zrobić młodego obywatela, świadomego swych praw i obowiązków, przygotowanego do dalszej nauki, lub pracy zawodowej, jednym słowem oddać społeczeństwu gotowy materiał na człowieka.

Jest to maksimum tego, co szkoła powszechna może osiągnąć. Ideał jej celów i zamierzeń. Ale nie wymagajmy cudów. Bądźmy realni i w marzeniach skromniejsi.

Sam fakt, że młodociany kandydat na „kawalera księżycy“, przyszły, albo już aktualny adept sztuki „pajęczarskiej“, że dziewczątka, które ulica zawczasu już doskonale urabia na łup dla handlarza żywym towarem — że ta zgraja małych dzikusów i barbarzyńców w ciągu kilku godzin przebywa w atmosferze pracy, karności, kultury, w otoczeniu schludnym i estetycznym, w poczuciu obowiązku, w konieczności podporządkowania swojego „ja“ interesom gromady — ten sam fakt wystarczy, aby zdać sobie sprawę z doniosłości roli, jaką w życiu małego proletariusza odgrywa szkoła powszechna.

A potem dodajmy jeszcze jeden ważny moment psychologiczny: świadomość, że o nas ktoś dba, o nas się troszczy, że komuś zależy na tem, żebyśmy byli lepsi, mądrzejsi, sprawniejsi w pracy, miłsi sobie i ludziom. Czynniki duchowego współżycia z nauczycielem promieniuje nieraz na całe dalsze życie jednostki, odkrywając w jej sercu nieprzebrane skarby uczuć, z których czerpać będzie kiedyś rodzina i społeczeństwo.

Trzysta tysięcy dzieci tych dobrodziejstw w ciągu najbliższych dwóch lat będzie pozbawione. Co na tem traci kraj, niech nas pouczą rubryki codziennych wypadków zbrodniczości, okrucieństwa, zwyrodnienia małoletnich wyrostków. Niech nas pouczą statystyczne cyfry przestępczości, alkoholizmu, prostytucji młodocianych.

Ogólnie znanem jest powiedzenie, że wojnę francusko-pruską wygrał niemiecki nauczyciel wicjski i... kiszka grochowa. Dobre odżywianie, dobra szkoła — oto dwa filary zdrowego pokolenia, oto fundamenty przyszłości narodu. Sprawa odżywiania dzieci postawiona jest u nas jako tako. Zabiegają o nią gorliwie rozmaite poradnie i przychodnie, ogniska i komitety rodzicielskie, krople mleka, żłobki i przedszkola. Coraz mniej dzieci wątłych, niedokarmionych, chorowitych widuje się po ulicach. Szkołę naogół mamy dobrą, ale, niestety! nie wszystkie dzieci mogą z niej korzystać. Odbija się to fatalnie na stanie naszej kultury.

200.000 dzieci bez szkoły! Oto nagi fakt. Musimy sobie uświadomić groźbę położenia i obmyśleć środki zaradcze, choćby tylko doraźne, dorywcze, tymczasowe, bo kraj musi się zdobyć na załatwienie tej luki w naszym systemie oświatowym i to w krótkim przeciągu czasu, nie czekając, aż szpara na dnie okrętu stanie się gardzielią, która okręt pochłonie.

Więc na „tymczasem“ trzeba będzie chyba wrócić do dawnej tradycji „białych panienek“ ze dworu, które w sekrecie przed strażnikami gromadziły dziatwę ze wsi i z czworaków na tajemne praktyki z elementarzem i katechizmem. Trzeba będzie wskrzesić pokolenie „silaczek“, niezmordowanie sączących kropla po kropli żywą wodę oświaty w zmartwiałe duszyczki dzieci z sutereny. Sprawa jest o tyle łatwiejsza, że dzisiaj ukrywać się już nie trzeba, i nikt za „Promyka“ nie wsadzi do cytadeli. Odpada wprawdzie urok bohaterstwa, ale pozostaje świadomość spełnionego obowiązku.

Jeszcze jest sporo u nas kobiet, które nie wiedzą, co robić z czasem, a których mężowie uważają sobie za punkt ambicji, żeby ich żony nic nie robiły. Jeszcze jest sporo panienek, rwących się do t. zw. pracy społecznej, a nie wiedzących od czego zacząć. Niech te panie i paniuki zajmą się, każda, dziećmi tylko swego podwórka. Niech uskutecznią swego rodzaju inspekcję, niech sprawdzą, czy wszystkie dzieci w wieku szkolnym do szkoły uczęszczają, a jeżeli nie, to z jakiego powodu? czy z braku miejsca w szkole, czy z braku obuwia i ciepłego ubrania, czy z powodu słabego stanu zdrowia, lub okoliczności rodzinnych (obowiązków piastowania młodszego rodzeństwa).

Niech wnukną w potrzeby i niedolę tych dzieci, niech przyjrzą się zbliska, w jakich warunkach odbywa się „odrabianie lekcji“; niech zachęcą starsze dzieci do pomagania młodszym, lub do uczenia tych, których do szkoły nie przyjęto. Niech wreszcie osobiście

zaopiekują się temi kopcuszkami oświaty, którym nikt oczu nie otwiera; niech jedną godzinę w ciągu dnia, urwaną jałowej siećce w „Europie“ lub „Ziemiańskiej“, poświęcą europeizowaniu sarmackich główek; niech razem z niemi odkrywają ziemię obiecaną obrazkowego elementarza, wzruszają się nad dobrym zbójcą z „Powrotu Taty“, śmieją z „Dziada i baby“ i zglębia proste nakazy dekalogu...

Po wsiach sprawa tego pozaszkolnego douczania

jest o tyle utrudniona, że dzieci z wiosek, dalej położonych, zimą prawie wcale do szkoły nie uczęszczają z powodu mrozów i braku ciepłego przyodziewku. Jeśli dwór jest blisko, a we dworze pani lub panienka, łatwo zaradzić złemu; ale co począć w zapadłych siolach, gdzie zaledwie sam sołtys z trudem sylabizuje „powieстки“ urzędowe? Ale i tu może przyjść z pomocą dobra wola i mądra inicjatywa. „Młode Ziemiarki“ mają tu wdzięczne pole do pracy.

Stefanja Podhorska-Okolów.



M. MOSSOCZOWA

CYFRY MÓWIĄ

Po pierwszych chwilach uniesień, po pierwszych miesiącach gorączkowych prób, po pierwszych latach błędów, zawodów i gorzkich doświadczeń — dopiero teraz zaczynamy zdawać sobie jasno i wyraźnie sprawę, że powstanie państwa polskiego — to nie koniec naszych wysiłków i ofiar, ale początek trudnej i systematycznej pracy; że do tej pracy musimy obok mężczyzn stanąć my, kobiety; że musimy zmienić radykalnie swój stosunek do spraw społecznych, narodowych i politycznych — z żyjących tradycją i marzeniem przejść do rzeczywistości, bierny opór zamienić na wytężoną energję, niechęć, nieufność do wszelkiego rządu — na ofiarną współpracę, nieposłuszeństwo — na karność wojskową nieledwie.

Państwo Polskie — choć naprawdę odzyskane cudem, nie jest to coś cudownego, co nam, polakom, ma lać do zmęczonych niewolą dusz pogodę i odpoczynek, do strudzonych wiekowym wysiłkiem ramion — siłę, do wypróbnionych przez zaborców kieszeni — strumień złota.

Nie! państwo polskie nie może za nas pracować, za nas myśleć, za nas rządzić; ale państwo polskie, rząd polski — to właśnie my, tylko my, i zawsze my! Sami sobie musimy słać łoże, sami sobie budować dom, sami dla siebie pracować, sami sobą rządzić, sami siebie słuchać.

Na nic się nie zdało czekać, wyrzekać, oglądać się, wyciągać ręce i szukać wielkich ludzi, którzyby za nas myśleli, pracowali, rządzili — to wszystko musimy zrobić my sami, my — mężczyźni i kobiety. Państwo — to my, senat i sejm — to my, rząd — to my; odpowiedzialność nas wszystkich wspólna i nikomu nie wolno od niej się uchylać. Nie czas się zamykać w domu, kobieta musi wyjść na świat szeroki.

Nie wystarcza być dobrą żoną, gospodynią i matką, aby być dobrą polką, ale trzeba brać świadomy, czynny i pracowity udział we wszystkich sprawach politycznego życia naszego. Nie znaczy to wcale, abym chciała kobietę dzisiejszą pchnąć w wir kłótni, sporów partyjnych, abym kazała jej biegać po wiecach, tonąć w bagnie kłamstw, t. zw. „politycznych“ — zapisywać się do tej czy owej partji.

Nie! po stokroć nie! chcę tylko, żeby kobieta pod względem politycznym nie była „tabaką w rogu“, żeby umiała zdać sobie sprawę z przejawów naszego życia politycznego, żeby, gdy przyjdzie czas wyborów, nie dała się pociągnąć wielkim frazesom, nie szła na lep kłamliwych obietnic, ale wiedziała, na kogo ma głosować, kogo ma wybierać, kto jej głosem przemówi.

Chcę więcej jeszcze! żeby właśnie kobieta stała się owym cementem, łączącym rozproszkowane partje i stronnictwa, owym złotym mostem zgody, między rozpolitykowanymi, zacierzewanymi i zwalczającymi się nawzajem nieraz aż do rozlewu krwi bratniej — obozami.

Pomyślcie tylko: jest nas kobiet połowa, a może i więcej nawet, niż połowa; pomyślcie, jak ta „brzydka“ połowa rodu ludzkiego rozbita jest na stronnictwa, partje, kluby, kółka, obozy. Gdyby tak nasza „piękna“ połowa pięknie i godnie głosowała na ludzi pewnych, mądrych, wykształconych, gorliwych, pracowitych i szlachetnych — przy nas byłoby zwycięstwo! — pewne oparcie dla rządu, uspokojenie i rozkwit państwa.

Tę pracę nad sobą i przyszłością musimy zacząć zaraz; już przez te dziesięć lat zbyt wiele zmarnowałyśmy drogiego czasu, już nam czarna troska zagląda

zaczyna w oczy. Tak, jak przed najpilniejszą pracą dnia, przed najwznieśliwszymi zadaniami zawsze każda gospodyni musi przedewszystkiem przypasać fartuch i zająć się przygotowaniem posiłku dla rodziny — tak i teraz, mając na oku cel swój i drogę do niego wytyczoną, musimy zwrócić uwagę na kwestję gospodarczą, na rzucone wezwanie do samowystarczalności, na skierowane do nas, kobiet, nawoływania.

Co to jest samowystarczalność? jak ją przeprowadzić trzeba i dlaczego? czy to taki sobie modny frazes, czy też konieczność, a może kwestja życia i śmierci? Przypatrzmy się temu zagadnieniu bezstronnie i uważnie. Wiemy, że wojna światowa zachwiała życiem gospodarczem na obu półkulach, że długie lata miną, nim szkody, przez nią wyrządzone, dadzą się naprawić, straty wyrównać... stąd w całej Europie braki, drożyzna, strejki, bezrobocie i zaburzenia.

U nas skutki wojny były najokropniejsze: kraj wyciśnięty przez zaborców, wyniszczony wojną, zlepiony z trzech zaborów, dźwigający się z mozołem; trzy waluty, trzy różne ustawodawstwa, trzy różne kierunki gospodarcze, trzy różne zagadnienia ekonomiczne... pamiętamy wszyscy te pierwsze ciężkie lata — chcieliśmy ratować państwo swoim mieniem, podpisywaliśmy pożyczki chętnie i ofiarnie — okazało się dobitnie, czem jest bogactwo obywateli wobec bankructwa państwa. Przyszła dewaluacja, pieniądz stał się świstkiem, częstokroć mniej wartym od papieru, na którym był wydrukowany. Potraciliśmy mienie w papierach, w gotówce, w akcjach, pożyczkach, rentach, bankach i kasach ulokowane. Jedynie ziemia, złoto i nieruchomości zachowały swą wartość. Najmajątniejsi ludzie stali się nędzarzami, wniwecz poszły oszczędności. Zdawało się, że lecimy w przepaść bez ratunku.

Jednakże, dzięki wspólnym i zgodnym wysiłkom rządu i społeczeństwa, udało się nam wydzwignąć z toni; oddaliśmy, co kto mógł: złoto, pełnowartościowe waluty, stworzyliśmy Bank Polski, na kapitale polskich obywateli oparty, który puścił w obieg złotego polskiego, mającego pełną wartość franka złotego, czyli $\frac{1}{3}$ dolara. Odetchnęliśmy z ulgą. Zdawało się, że to koniec wszystkich naszych trosk walutowych, a początek ogólnego dobrobytu. I tak być mogło — i tak być powinno... gdybyśmy byli umieli gospodarzyć, gdybyśmy umieli dobrze liczyć. Jednakże okazało się, że nie potrafimy zastosować w życiu państwowem tej najprostszej zasady uzgodnienia dochodu z rozchodem, którą zna każda dobra gospodyni. Z jednej strony brnął w długie rząd, mając budżet nieustalony, z drugiej strony my sami wydawaliśmy złotego nieopatrznie, bez rachunku — nikt nie był bez winy, musimy to sobie jeszcze powiedzieć i jasno zrozumieć, abyśmy mogli zawrócić ze złej drogi i ratować się, póki jeszcze czas. A czas ostatni...

Cośmy zrobili, mając pieniądz dobry, pełnowartościowy, prawdziwie złoty — bo mający lepszy podkład złota, niż funt szterling angielski. Ucieszeni, że nasze złote mają taki dobry kurs, że wobec tego wszystko, kupione zagranicą, lub sprowadzone z zagranicy, wypada taniej znacznie, niż w kraju, że za „psie pieniądze“ można się zagranicą ubrać od stóp do głów, że pobyt w najdroższych miejscach kąpielowych jest o wiele tańszy, niż w takiej „dziurze“, jak Zakopane, czy Krynica, że suknia z Paryża jest tańsza od sukni Hersego z Warszawy — ba! nawet nie droższa od uszytej przez skromną krawcową, że wszelki zagraniczny towar, nawet mąka, szmalec, słonina, wypada taniej, niż krajowe — zaczęliśmy jeździć, zwozić, sprowadzać, żądać wszędzie tylko zagranicznych wyrobów, zamawiać i kupować na gwałt, co potrzeba, i co nie potrzeba.

I co się stało? wpadliśmy w dług. — Jak to?! przecież płaciliśmy za wszystko, a złoty nasz miał dobry kurs i chętnie, a nawet skwapliwie był przyjmowany wszędzie? Wytłumaczenie bardzo proste, dla jasności przedstawię w liczbach.

Przypuśćmy, żeśmy wszyscy — to znaczy rząd, kupcy, banki i podróżni — przez pierwszy rok wydali zagranicą tylko 500 milionów złotych. Dali nam za to, cośmy żądali, dostarczyli towaru, maszyn, dolarów, złota... Pięknie, wszystko w porządku, koniec. O nie! teraz zagranica ma te 500 milionów złotych i chce je w Banku Polskim (naturalnie za pośrednictwem giełdy, banków etc.) zmienić — przecież polskie złote nie będą kursowały zagranicą. Za te 500 milionów złotych musimy zapłacić 100 milionów dolarów. Skąd je wziąć? Bank Polski nie ruszy swego skarbcza, nie wolno mu tego uczynić. Jakże wymienimy te 500 milionów złotych, skąd zapłacimy 100 milionów dolarów? Dwie są możliwości: albo wywieziemy zagranicę nasz towar i sprzedamy go, albo zaciągniemy pożyczkę. Wywieźć przecie możemy: mamy drzewo, węgiel, naftę... ale trzeba szukać nabywców, zdobywać rynki, podpisywać umowy, zwalczać konkurencję... nie tak łatwo, jak się zdawało. Pożyczyć? jeszcze trudniej... zaczynamy się spóźniać z wymianą, na giełdzie za dużo złotych, wszyscy szukają na gwałt dolarów... złoty zaczyna spadać, dolar idzie w górę. Za dolara płacić trzeba już 6, potem 7, potem 8, 9 złotych — wreszcie dochodzi do 10-ciu złotych, a nasz dług już wynosi nie 500 milionów złotych, ale cały miliard, bo teraz za dolara płacimy podwójnie. Wzrasta drożyzna, stają fabryki, kupcy bankrutują, ludność biednieje, zaburzenia, strejki, niepokoje... Rząd chce ratować sytuację, przedewszystkiem budżet ustala, zaprowadza oszczędności, redukuje urzędników, wprowadza ograniczenia paszportowe, nakłada wysokie cła na towary luksusowe, sprowadzane z zagranicy, wreszcie minister Zdziechowski usiłuje zupełnie zamknąć granice i nie chce wpuścić nic do Polski.

Sytuacja staje się bardzo ciężka: w tym czasie następuje przewrót majowy, i rząd Marszałka Piłsudskiego bierze w swe ręce uzdrowienie kraju. Po długich wysiłkach udaje się wreszcie zaciągnąć pożyczkę na ustalenie waluty, a równocześnie słynny strajk górników angielskich pozwala nam ośwładnąć rynkiem węglowym. Następuje stabilizacja złotego. Dolar staje; zdaje się wszystkim, że jest lepiej; ludzimy się, że jest dobrze. Zaczynamy więc na nowo sprowadzać towary i sprowadzamy coraz więcej i więcej. Nasze długi rosną, drożyzna wzrasta powoli a stale, bezrobocie nie maleje, my nadal kupujemy zagranicą i kupujemy coraz więcej...

Wkońcu rząd przez usta p. premjera Bartła wzywa nas wszystkich do upamiętania, do ratunku, bo sam rząd bez pomocy społeczeństwa, tak samo jak społeczeństwo bez pomocy rządu, uratować się nie potrafi... a ratować się musimy, ostatni czas... Mamy już 6 miliardów dolarów długu, w tem rząd 4 miljardy na pożyczkę zaciągniętą w ciężkich warunkach, a banki, związki komunalne, prywatne około 2 miliardów.

Zostaje rzucone hasło samowystarczalności. Gorąco, serdecznie podejmuje je młodzież uniwersytecka, urzędnicy, wice, pochody... Oczy wszystkich zwracają się teraz na kobiety. Przecież my, kobiety, wydajemy pieniądze, w naszym ręku leży ratunek, na nas spada odpowiedzialność. Rozpatrzmy się więc dokładnie, cóż to jest samowystarczalność, jak ją przeprowadzić mamy.

Rozumiemy dobrze, że nie możemy odgrodzić się od świata murem chińskim, nie możemy w kraju zakładać plantacji ryżu, kawy, herbaty, kakao i bawełny, że nie dojrzeją nam cytryny, ani pomarańcze, że nie nałowimy w Bałtyku tyle śledzi, ile ludność nasza potrzebuje. Rozumiemy też doskonale, że rząd nie może zamknąć granicy, bo obowiązują go traktaty handlowe, zawarte z różnymi państwami. Więc na czem ma polegać nasza samowystarczalność? Na czem polega w różnych państwach, dobrze zorganizowanych? Na przewadze wywozu nad przywozem, czyli, jak się to mówi, na czynnym bilansie handlowym, na przewadze dochodu nad rozchodem.

Przypatrzmy się liczbom: w roku 1928 sprowadziliśmy z zagranicy towarów za 3 miljardy 500 milionów złotych, a wywieźliśmy za 2 miljardy 500 milionów złotych, czyli niedobór w samym roku 1928 wynosi 885 milionów złotych. Czas już więc zaprzestać zaciągania nowych długów, bo zresztą nikt nam nie zechce pożyczyć. Trzeba zmniejszyć przywóz, zorganizować opinię publiczną, aby tylko do rzeczy najniezbędniejszych przywóz ten ograniczyć. Zależy to od nas samych, a głównie od nas, kobiet.

Gdy zajrzeć do danych statystycznych, popraw-

dy aż włosy stają na głowie, ile niepotrzebnie i lekkomyślnie wyrzucamy pieniędzy! W roku 1928 kupiliśmy zagranicą pszenicy, mąki etc. za 119 milionów, żyta za 63 miliony, cebuli za 950 tysięcy, chlebek za 10 milionów — my, kraj rolniczy! Rozumiem, że sprowadzamy futra, ale poco — skóry wyprawne? poco obuwie (za 15 milionów)? Rozumiem, że sprowadzamy bawełnę, jedwab, ale — poco wełnę (za 141 milionów)? tkaniny (70 milionów)? odzież, bieliznę i konfekcję (za 50 milionów)? Kto kupuje to wszystko? tę mąkę amerykańską, tę cebulę węgierską, ten szmalc amerykański, szynki praskie, kapustę morawską, śliwki bośniackie? Kto kupuje te tkaniny czeskie, niemieckie, szwajcarskie, wełny angielskie, jedwabie francuskie, buciki szwedzkie i czeskie? My, kobiety.

Pieniądz każdy, wydany na towar zagraniczny, marnujemy podwójnie, raz że wzmocnimy nasz dług, drugi raz, że odbieramy chleb naszym. Poco kształcić nasze dzieci na handlowców, przemysłowców, inżynierów, rzemieślników? lepiej dać im kij żebrać w rękę, bo do tego prowadzi nasza lekkomyślna gospodarka!

A teraz — kilka rad praktycznych, jak wprowadzić w czyn ideę samowystarczalności? Bo to rzecz niełatwa i długie lata będziemy musiały się borykać, zanim postawimy na swoim.

1. Kupować towar zagraniczny tylko w ostateczności, gdy w żaden sposób nie można go zastąpić swoim, ani obejść się bez niego.

2. Nie odstępować od zasady nawet wtedy, gdy krajowy wyrób jest droższy stosunkowo, lub gorszy (np. przypuśćmy, że koszula krajowa, uszyta przez szwaczkę naszą, kosztuje zł. 10, a zagraniczna — zł. 9, kupując krajową, tracimy 1 złotego, a kupując zagraniczną, tracimy całe zł. 9, a nawet zł. 18, bo zł. 9 powiększa nasz dług, i nasz przemysł traci również 9 zł.).

3. Kupować u kupców, którzy prowadzą solidnie swój handel, których obywatelskie przekonania są pewne i którzy nie podsuną nam obcego wyrobu zamiast krajowego. Hasło: „swoją do swego po swoje“ — musi mieć w całej pełni zastosowanie.

4. Oszczędzać i gromadzić fundusze w bankach i kasach oszczędności, aby można było zakładać nowe fabryki, zakłady przemysłowe, abyśmy nie potrzebowali wywozić zagranicę tanich surowców, a sprowadzać je za drogie pieniądze, jako przetwory czy fabrykaty. W roku 1928 mieliśmy oszczędności 4 miljardy — dużo to, ale i zamało wobec ogromnych naszych zadań.

Jeszcze raz powtarzam, że to rzecz niełatwa, całe lata będziemy się borykać, ale my kobiety nie ustąpimy, aż doprowadzimy do zwycięstwa!



M. CZERKAWSKA

KATEDRA

Zieleni, rozpruta domkami,
Gościniec, most, senna rzeczka
I dużo krętych uliczek
W kurzu małego miasteczka.

Wąziutkie, matorne szybki —
Gwar wróbli, szczebiot jaskólek...
W głębi, o ogród oparty,
Cichutki, smutny zaułek.

Rów nydeptany chodnika — —
Idzie się ciągle, wciąż wraca — —
(To tvoja, szara kobieto,
To tvoja domowa praca.)

„To samo“ pradawnym trybem
Godzina w godzinę mota — —
Rodzą się, giną bez skrzydeł
Wszystkie radości zymota.

Smutki - staruszki nie giną,
Stuletnie, żyją nadzieją,
Że przyjdzie szczęście jedyną
I zawsze pustą aleją.

Nie świeci tu wielkie słońce,
Ale zdrobniałe słoneczko —
Ludzie się krzywią: och, płaskie,
Nudne jest małe miasteczko.

A jednak gdy ostre wichry
W wąskie uliczki się wędra,
Rozsuną drzewa — zdumiony
Stajesz przed smukłą katedrą.

Krok jeden, czy kroków parę
Od kramów, rowu chodnika —
Strzelisty kościół miłości
Wieżami niebios dotyka.





Auxerre — Avenue de l'Arbre Sec

FELICJA KRUSZEWSKA

LIST DO KRAJU

„Tu, za temi górami, odetchnąłem cokolwiek: tak tu jest miło i cicho“.

Góry? Raczej wzgórze rdzawobrunatne o tej porze roku, w lutym, który ostrym, nieubłaganim mieczem położył się w poprzek całej Polski, a który tu lada chwila wybuchnie wiosną. Wiele się tu mogło zmienić i napewno zmieniło się od czasów, kiedy to do Paryża za godzin siedemnaście zajechać było można (proszę! 11.35—14.58). Niesposób też dziś odnaleźć owej ulicy bez nazwiska z pomieszkaniem z ślicznym widokiem na rzekę, a którą to ulicę *bonne madame Turqui* chrzcila mianem de *Vicilles* (a może to właśnie *Quai de la République*?). A przecie nie zmieniło się jedno: jest miło i jest cicho. Cicho zwłaszcza wieczorem, kiedy zakurzone auta przestają przebiegać wąskie uliczki miasteczka i zza zapuszczonych na otwarte okno szkockich firanek słysząc poważną rozmowę dwóch zegarów: z hal miejskich (*dépêchez vous!*) i z wieży zegarowej (*j'veille toujours*). Zwłaszcza tak cicho po Paryżu.

Jak wiadomo, choćby z mapy, Auxerre leży w Burgundji. I jest na tej mapie malutkiem, czarnem kółeczkiem. Nad kółeczkiem tem należałoby teraz zawiesić malutką, błękitną kropelkę. Oznaczałoby to zarówno niebo bez najmniejszej dziś chmurki, jak i ciszę.

Wiadomo również, że Auxerre leży na linii Parys—Lyon—Méditerranée. To prawda. Ale to także

prawda, że stąd bliżej jest do kraju. Nie wiem dokładnie, w którą stronę (wszystkie są słoneczne) trzeba się obrócić, żeby pójść w stronę Polski. Chyba od ulicy *du Temple* na prawo. Przy tej drodze leży cmentarz. Cmentarz jest niejako niespodzianką. Tak się ukrył za jasnymi ścianami domów, że wydaje się niewielką bramką, wiodącą do jakiegoś podwórza. I trzeba dopiero zajrzeć w tę bramkę, żeby zobaczyć ścianę zielonych iglastych drzew i szereg jednakowych pomników. *Famille — famille — famille*. Rodzinni są wiadać ludzie i nie lubią się rozłączać w Auxerre!

A zaraz nawprost bramy (to już nie jest niespodzianką!) *D. O. M. Mauricius Mochnacki Civis Polonus* i t. d. *Pro Patria vincula, vulnera, exilium passus...* Na prawo: *Fanny Dantonel 1892*. Na lewo: *Famille Gonzalès*. Pośrodku: na niewysokiej szarej kolumnie potężna zielonkawa głowa, której *Oleszczyński* nadał rysy drapieżnego ptaka. Oczy puste, bez źrenic patrzają przed siebie. Niby półuśmiech wrył na policzkach głębokie rysy.

To tu wreszcie jest najspokojniej i najciszej po burzliwym, jak jesień, życiu? To tu ze składek towarzyszy stanąć musiała ta przedziwna głowa, kiedy pod suchym żwirem wśród utrudzonych kości niema głowy, w której mózg spłonął wielkim płomieniem i niema serca, które w trzydziestym roku życia było za ledwie przezroczyście, zużyte na nic tkankę.

Cmentarz powleka kolorowa mgielka koronko-

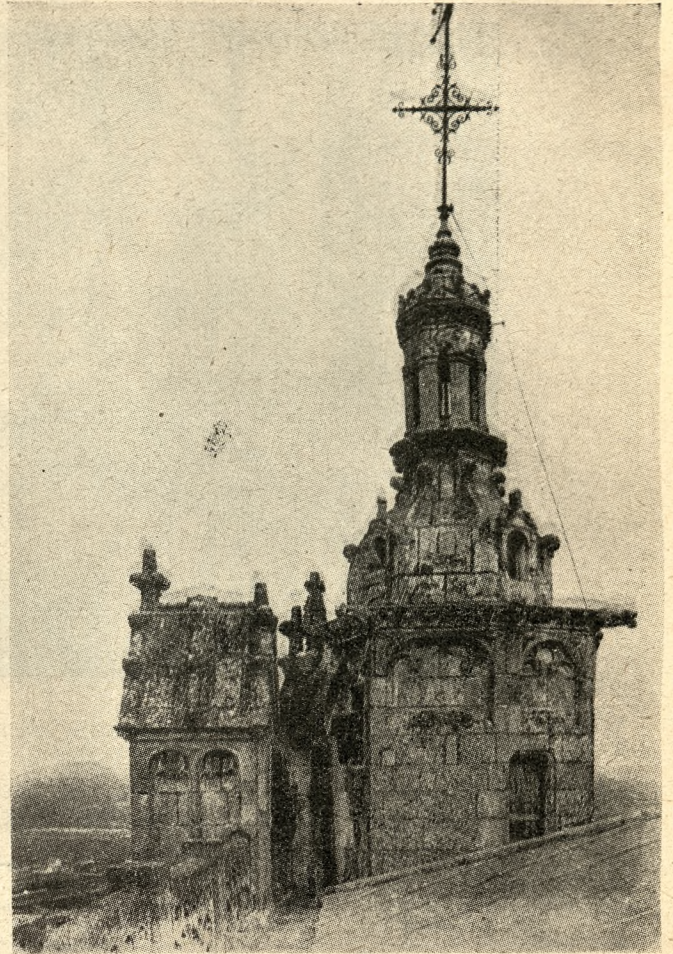
wych paciorkowych wianuszków. A notre chère mère. A mon fils chéri... Ba! w uliczce na prawo ktoś wznosił nad grobem malutki, szklany, wesolutki domeczek żeby widać słoty zimowe nie sponiewierały porcelanowych różyczek, żeby wiatr nie przewracał złoconych naczynek, ustawionych we wzorowym porządku. Jeden szklisty wianuszek, nieokryty i zupełnie szerniał, leży u stóp kolumny. Kto i kiedy go położył?

Słońce na drodze wypija płytkie, białawe kałuże. Pies z kosmatą mordką, wesoło merdając ogonem, oprze serdecznie przednie łapy na kolanach. Zakręci się, odbiegnie. Mimowoli uśmiechniesz się piesku, pieseczku! Podskoczył raz i drugi, zaszczekał, wrócił znowu. Zrozumiał. Dzwoneczek zadzwoni. Zastukają po kamieniach ciepłym truchcikim maleńkie, uparte kopytka osiołka. Nie, to trudno. Osiołek nie zawiezie do Polski.

Można tedy obejrzyć niebogate cuda Auxerre. Więc kościoły: St. Germain, St. Eusèbe, St. Pierre, wszystkie pełne zimowego mroku i tęzowe od przepięknych witraży. Można stanąć na niedużym placu i całkiem bezpiecznie, zadarłszy głowę do góry, podziwiać rozety na kolosalnej, wspanialej katedrze St. Etienne (wzniesiona w latach 386—415, przebudowywana w latach 1030, 1215—1234, skończona w r. 1543). Można spojrzeć niżej na portyk na prawo i zapatrzeć się na płaskorzeźby, przedstawiające stworzenie świata. Bóg nie ma już wprawdzie głowy, ale ma jeszcze ręce, które tak nieskończenie miłośnicie dotykają nagiego, grzesznego ciała człowieka. Można rozciągnąć to zapatrzenie na kwadransy i na godziny. Nie przejedzie cię bowiem żadne auto, ani też potrafi człowiek, chyba znowu jaki pies przyjdzie dotknąć mokrym nosem twojej ręki.

Można również, o ile to jest niedziela lub czwartek popołudniu, obejrzyć miejscowe muzeum w ratuszu, bo jest i muzeum, a jakże.

Znów tedy w zimowym półmroku możesz podziwiać śmierć dzieci Niobe (Riesener), koniec świata (Pajol), odjazd Achillea (Coypel) i t. d., aż do malutkich, śmiesznych glinianych, wygrzebanych z ziemi gallo-rzymskich zwierzątek, aż do średniowiecznych świątobliwych potworków bez głów, i bez rąk, i bez nóg, i bez żadnej niezbędnej części ciała. Wszystko to przy akompaniamencie zawziętego tupania stróża tych schowków, który dla ciebie specjalnie otworzył żelazne podwoje Musée de la ville d' Auxerre, a teraz oto dziwuje się w tym chłdzie, czemu tak długo nie odrywasz nosa od gablotek. Jeśli się zechcesz bliżej z tym nieodstępnym z konieczności towarzyszem porozumieć, zacznij tupać i ty (to rozgrzewa), inaczej nie dojdiesz z nim chyba do ładu. Bo jeśli nawet dosłyszysz twój głos i odpowie, nie pojmiesz i tak ani słowa, człowiek ten bowiem już skrzeczy tylko ze starości.



Auxerre — Latarnia katedry

A teraz, kiedy się już obejrzało rzeczy ważne i rzeczy godne widzenia, można pójść sobie wybrzeżem, aż za miasto. Tu już będzie podsychające, białawe błoto. Tu już będzie kołtuniasta, miękka zeszłoroczna trawa pod nogami. Tu już będą owe wzgórza brunatne i drzewa jeszcze bez liści, a już nęcące końcami zwisłych gałązek. I tu także będzie wiatr. We włosach, w rzęsach, na twarzy.

Nie wiem, jaki jest wiatr w Auxerre zimą, na przykład w grudniu. W takim wietrze grudniowym (czy nie był to jednak wiatr listopadowy?) słyszał Maurycy Mochnacki w roku 1834 (Braciszku! Braciszku Kamilku!) wielką powietrzną, harmonijną grę duchów. Przecież miała się i burza skończyć harmonją.

Allons. Gdzie niema burzy, tam często jest tylko smutek. Może dlatego wiatr wiosenny nic nie mówi. Za to pachnie, pachnie tak dotkliwie niewiedomo już Francją, Polską, czy poprostu wiosną. Zamkniesz oczy, otworzysz usta i płuca i nic nie zechcesz powiedzieć. Otworzysz oczy, spojrzysz przed siebie na Yonnę, która modrozielona i czysta płynie sobie i pluszcze, płynie sobie i pluszcze w wysokich, srebrnawych trzcinach. Uśmiechniesz się nagle i niepotrzebnie przez łzy i zechcesz jej powiedzieć: Bystrzyco!

Auxerre, luty 1929.

SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

Nadspodziewanie, ta wiadomość tak zelektryzowała męża, że zerwał się z kanapy na równe nogi i stanął przedemną ze ściągniętymi groźnie nad błyskawicą wzroku brwiami.

— Jakto? Hrabina mieszkała u ciotki? Od trzech miesięcy? I nie uważałaś za stosowne mię nawet o tem zawiadomić? Ależ to niesłychane, ależ to... Przecież nie zostawi nikomu grosza, przecie zrobiła z pewnością to umyślnie, ażeby w ostatniej chwili móc starą nakręcić tak, jak jej to dogadza. Nie posądzałem cię nigdy o zbyt ni spryt życiowy, ale wiedzieć o czemś podobnem i nie zareagować, nie zawiadomić wreszcie mnie, ażebym jej machinacjom zapobiegł, to, to przecież już nie naiwność! to — głupota, wprost i zwyczajnie głupota! To!... To!...

Nie panował nad sobą, on, zazwyczaj tak wytrenowany w mimice i słowie, że miał twarz podobną raczej do maski z brązu. Nie poznawałam go. „Nakręcić starą...“ Przez cały czas naszej znajomości, a więc przez dwa lata, nie zdarzyło mi się słyszeć podobnego zwrotu w jego ustach. Był samym wykwin-tem. I wogóle, zaczynało mi powoli świtać coś. — Ale to coś było tak przeraźliwe, że bałam mu się wprost zajrzeć w oczy otwarcie. Położyłam odruchowo rękę na sercu. Nie powinnam była teraz dopuścić do siebie żadnych tragedij, żadnych walk. Pod tem sercem żyło już moje małe, przyszłe szczęście. Tak łatwo było je zdmuchnąć! Nie. A może zresztą mi się to podejrzenie tylko fantastycznie przyśniło, dzięki nerwowemu nastawieniu w związku z moim stanem?

Odwróciłam głowę, bo jednak niechęci, jaką we mnie słowa, a zwłaszcza ton męża obudziły, zwalczyć w sobie narazie nie mogłam. I powiedziałam wolno, dużo zimniej, niż mi się zdarzyło kiedykolwiek.

— Nie wiedziałam, że ciotka ciebie tak dalece obchodzi! Nie bardzo rozumiem i w tej chwili, dlaczego mi zarzucasz wiele rzeczy w wyrazach... mało wykwin-tych? Na co i jak Lora, jak się wyrażasz, mogła „nakręcić“ ciotkę — mało mnie dotyczy, ponieważ nie mam u ciotki żadnych pieniędzy. Przyjechałam w perkalowej sukience i raczej ją dużo kosztowałam, jak sam wiesz! A co do powiedzenia, że Lora tam jest — poprostu nie mam zbyt wiele sposobności z tobą rozmawiać, bo nie jestem pewna, czy przez ostatnie trzy tygodnie byłeś u mnie więcej, jak kilka razy, i zawsze na chwilę. Nie mogłeś nawet z braku czasu załatwić dużo dla nas obojga ważniejszej sprawy, odrestaurowania narożnego pokoju, żebym miała gdzie umieścić dziecko, kiedy przyjdzie na świat. A to jest naprawdę bliższe!

Nie wiem, czy był zaskoczony nowym dla niego

— a i dla mnie samej w pierwszym rzędzie... moim tonem, czy też pomiarkował się niezależnie odemnie, dość, że przez chwilę, odwrócony ku oknu, milczał z rękoma w kieszeniach, odbijając nogą takt. Leżałam nieruchomo, patrząc przez rzęsy na mijające za oknem ekspresy krajobrazy. Po jakiejś chwili obrócił się ku mnie. Twarz miał już ułożoną w zwykłą, poprawną i nieprzeniknioną maskę.

— Istotnie, zdenerwowałem się niepotrzebnie, przepraszam cię. Ale oburzyły mnie kombinacje hrabiny, których, mam wrażenie, nie rozumiesz, jakkolwiek są dość łatwe do przejrzenia. Przrzekała zresztą, że będzie starała się mnie zaszachować, zapewne tę rozmowę pamiętasz — było to właśnie z okazji moich oświadczeń o twoją rękę. Zabardzo zlekceważyłem jej... obietnicę, której, sądzę, teraz dotrzymała: tej możliwości nie obliczyłem. Zresztą, jutro się wszystko wyjaśni. Mniejsza z tem. Ważne jest to, że w niektórych momentach jaskrawiej się spostrzega własne niedociągnięcia. Zupełnie słusznie zwróciłaś mi uwagę na zbyt dorywcze nasze obcowanie wzajemne. Wina, przyznaję, po mojej stronie. Złożyło się na to wiele przyczyn. Trudnoby o nich mówić w tej chwili. Ale wierzę mi, że wszystko to minie z... przeminięciem niektórych okoliczności. Sam sobie stwarzam powody, ażeby oddalić się narazie od twego wpływu, od... twojej miękkości... A trudnoby mi to przyszło, gdybym przebywał w domu. Dlatego wolę tam nie być. Zapewne, jest to egoizm, ale mam wrażenie, że ty ze swej strony jesteś tak pochłonięta swoim — naszym! przyszłym maleństwem, że dla mnie nie masz już miejsca. Masz jednak rację, to błędna droga, to droga zbyt uciążliwa dla ciebie. Daruj mi, jeżeli potrafisz. A tak wiele możesz wobec mnie, jak... bodaj nikt.

W miarę, jak mówił, powoli otwierałam oczy, unosiłam się na siedzeniu, oparłam się na łokciu... Nie wierzyłam własny uszom! Tyle i takich rzeczy mąż do mnie nie powiedział w chwilach najbardziej poślubnych i narzeczeńskich. Zresztą, wymowę wobec kobiet stosował oszczędnie i tylko w stadjum pierwszym, towarzyskiem. Co do reszty, polegał bardziej na innych swoich atutach. Bądź to bądź, słowa te wydały mi się rajska muzyką. Więc to wszystko nie było jeszcze tak źle, więc jednak myślał o naszym stosunku? Co za przeszkody i jakie tajemnicze okoliczności go spowodowały do takiego traktowania mnie, jak to miało miejsce — nie mogłam, naturalnie, narazie, dotrzeć. Ale uwierzyłam w nie tak chciwie, jak chory — w możliwość uzdrowienia. Stronił odemnie, bo uważał, że mam na niego wpływ. Więc miałam? Duma, radość, wdzięczność i nagłe uspokojenie tak nagłe mną

wstrząsnęły i starły się nawzajem w tak krótkim czasie, że nerwy wymówiły podłuch. Wyciągnęłam obie ręce i, tłumiąc łzami widoczną łunę radości w oczach, które podniosłam ku niemu, zaledwie zdołałam wymówić nieśmiałym ze szczęścia i wzruszenia głosem:

— Oskarze, naprawdę? Więc trochę jeszcze o mnie myślisz? Więc nasze małenstwo się urodzi i będziemy we troje jeszcze strasznie szczęśliwi? Tak? Powiedz! Tak?..

Przez chwilę widziałam tuż przed sobą piękną twarz mego męża z tak skomplikowanym wyrazem, że nagle uczułam pchnięcie w serce. Ale zanim ten chłód doszedł do świadomości, ramiona jego porwały mnie, jak niegdyś, i lawina pocałunków spadła mi na twarz, ręce i szyję tak gwałtowną, iście południową burzą, że straciłam dech. I dopiero, kiedy po dobrej chwili, przytulona do niego, dysząc, usiłowałam się uwolnić, z obawy zbyt gwałtownych ruchów — otoczył mnie najtkliwszym objęciem i usłyszałam wszeptane mi między włosy, dawno zapomniane imię z narzeżeńskich czasów:

— Złotowłosiątko...

* * *

Nie umiem powiedzieć, jak to się stało, ale przyjechaliśmy zapóźno, kiedy już właśnie uroczystość była w toku. Czulałam się fatalnie. Przebyta droga i jej liryczne wzruszenia zarówno bodatnie, jak i ujemne, sprawiły widocznie efekt zbyt silny. Po przyjeździe prawie umierałam. Oskar sprowadził lekarza, zastrzykiwano mi coś i nacierano ręce i nogi. Wogóle, wrażenia podróżne, zakończone idyllą, jakiej nie pamiętały nawet moje poslubne czasy, w połączeniu z późniejszym nagłym wstrząsem i chorobą, a potem — przyjscie na świat Hanuśki: wszystko to przyćmiło jakgdyby wyrazistość poszczególnych chwil. Niektóre mi się gubią, niektóre — wyjaskrawiają z ujmą reszty. Okres ten malowany jest w mojej pamięci futurystycznymi chlapsami barw, których napięcie i ton zmieniały się z filmową błyskawicznością.

Pamiętam, na przykład, moment wejścia. Zielone sukno uroczystego stoła; pan z pliką papieru w ręce stoi i czyta, zaznaczając ważniejsze ustępy ruchem palca w górę, jakgdyby chciał powiedzieć: — Uwaga! — Drugi siedzi z pochyloną głową nad arkuszem i bębni po nim ołówkiem. Trzecia niewyraźna figura — przedstawiciel władz wykonawczych. A w pokoju — szeregi nieznanomych osób. Co tu robią? Dziwię się serdecznie. Przecież ich u ciotki nigdy nie widziałam? Jakieś zakonnice, ksiądz, czarno ubrane paniusie, misjonarz. Dalej, grupa mężczyzn i kobieta. Ach! Lora!

Piękne rajery powolnym, prawie niedostrzeżonym ruchem pochylają się ku nam, zaznaczając cień ukłonu. Czarująca twarzyczka porcelanowej laleczki zwraca się ku mnie. Ciekawe, ale to aż nielitościwe ciekawością oczy wprost polykają mię całą po drobniutkim szczególe. Po tem jednym spojrzeniu poznałabym moją piękną kuzynkę na końcu świata! Czuję, jak widzą odrazu i moją ciężką, mieszykową figurę, i zeszlodziły plaszcz, i kapełusz ten sam, któryśmy jeszcze razem kupowały w Lizzy. Płaczę się w ruchach i zdaje mi się, że zaraz zemdleję. Ktoś — zapewne mąż — sadza mnie na fotelu w pobliżu drzwi. Łiję wodę. Mimiś także jest, ale spogląda na zegarek, śpieszy się i zamienia szeptane słowa z Lorą figurami przy stole. Poćzem kłania się z całą gracją światowca wszystkim, mijając nas — szczególnie mnie — i wysuwa się — bardzo zaafetowany. Czyżby to był sezon wyścigowy? Wtedy zasadniczo nie miał czasu. Dziwi mnie, że na nas prawie nie patrzy, robi wrażenie, jakby uciekał. Luźłam raczej męża mojej kuzynki. Był, jak sama twierdziła, dobrym chłopcem. Może dlatego wolał nie asystować, wiedząc, że zamierza być zła?

Lora zato zachowuje się tak, jakgdyby mówiła: — Jestem i będę!.. — Jest piękniejsza i bardziej sztuczna w swojej dezinwolturze, niż kiedykolwiek. Z podziwem widzę, że włosy ma już nie złote, a jasno blond. Zato rzęsy potemniały wybitnie, a cera znamionuje najlepsze salony kosmetyczne swoją niezrównaną naturalnością. Osobista, by tak rzec, cera Lora ci rano — (bardzo nie lubi, aby ktokolwiek ją wtedy oglądał) — jest nieczysto-biała. Zdarza jej się to jednak tylko do godziny jedenastej przed południem. Po tej godzinie staje się listkiem kamelji lub róży, odpowiednio do potrzeb. Ubrana jest, jak zawsze, przesłizanie, i koło miejsca, gdzie siedzi, zdaje się unosić przejrzysty obłok, złożony z dyskretnych perfum, stonowanych barw i drapieżnego czaru.

Wciąż czytają. Czuję się coraz gorzej. Nie mogę skupić uwagi, aby uchwycić, co? Zapewne testament, bo paragrafy są nużąco formalne i zawile. Męczy mnie nad wyraz, że w całym ciebie dojmujące bóle przeszywają mnie nawskroś, jak sztylety, aż muszę siłą hamować drgania. Widocznie, wygląd mój zwraca uwagę, gdyż na mnie się oglądają. Nerwami czuję, że to nieskończenie irytuje i drażni mego męża. W pewnej chwili pochyla się ku mnie i mówi głosem chłodnym, jak stał, mimo że jest cichy:

— O ile koniecznie mamy na siebie zwracać uwagę, to, oczywiście, najlepiej poprostu zemdlej. Ośmieszasz mnie kardynalnie!



AURELJA WYLEŻYŃSKA

ANNA BILIŃSKA

Z Akademii malarskiej Julliana w Paryżu — mniej więcej w tym samym czasie, w latach osiemdziesiątych — z licznych cudzoziemek, jakie tam studjowały, wyszły dwie sławy: Anna Bilińska i Marja Baszkircew.

Chociaż spokrewnione powinowactwem plemieniem, przedstawiają one dwa zupełnie różne typy, krańcowo sobie przeciwne indywidualności; są jednak bardzo charakterystycznymi przedstawicielkami swych narodów.

Marja Baszkircew — bogata, śliczna rosjanka, uosobienie jeśli nie fantazji, to fantastyczności, kobieta, sobą i swą sztuką tylko zajęta, przerzucająca się od śpiewu do malarstwa — umarła bardzo młodo na suchoty. Spoczywa na cmentarzu Passy, w romantycznej kapliczce, będącej jednocześnie muzeum pamiątek po niej. Stosownie do jej życzenia, rodzina zgromadziła tu nie tylko jej obrazy, ale ulubione przez nią meble i drobiazgi. Przysypał to wszystko pył czasu, nie usuwany przez ludzką pamięć, i dziś raczej smutno, niż tragicznie wygląda ten zakątek. Trwały po-



Ostatni autoportret niedokończony...

mnik, jaki obok swej sztuki po sobie pozostawiła Marja Baszkircew, to jej pamiętnik, pisany od dwudziestego roku życia, do lat dwudziestu kilku, czyli do śmierci. Pamiętnik ten, posiadający wiele wartości artystycznych, odsłania duszę przedwcześnie dojrzałą, bogatą, bezsprzecznie „szeroką”, bardzo jednak powikłaną i dziwną naturę.

Anna Bilińska też pisała pamiętnik, który świeżo został wydany *). Przemawia z niego inna zupełnie dusza kobieca, inny człowiek, inny naród. Jeśli tamta jest doskonałą przedstawicielką artystki rosyjskiej z czasów „ancien régime”, to ta godnie reprezentuje artystkę polską z czasów niewoli.

Pamiętnik Marji Baszkircew jest jednocześnie, do czego zresztą posiada i słuszne pretensje, bo w tym celu był pisany, dziełem sztuki, Anna Bilińska pisała jedynie dla siebie — raczej nie pisała, tylko notowała. Pomimo to, czego przewidzieć nie mogła i zapewne w skromności swej nigdyby nie pragnęła, dała w nim, poza swymi licznymi zewnętrznymi portretami — piękny swój portret duchowy. Jest to równie silnie czująca polka, jak wielka artystka i o szerokich horyzontach obywatelka świata. Z miłością do kraju, oddaniem się sztuce — łączy serce wrażliwe na niedolę bliźniego.

Gdy Marja Baszkircew kocha się w sobie — o Annie Bilińskiej nawet powiedzieć nie można, iż kocha siebie. Chyba jedynie — jako źródło swej sztuki. Ale zato, w przeciwieństwie do tamtej, kocha wszystko i wszystkich — wszystko, co dobre i piękne, wszystkich, do dobra i piękna dążących.

Anna Bilińska urodziła się na Ukrainie, w Złotopolu (1857 r.). Dzieciństwo spędza w Kijowie, potem w Wiatce, gdzie ojciec jej był lekarzem. Tu uczy się początków rysunku, od będącego na wygnaniu Andriollego. W tym czasie pracuje też bardzo nad muzyką, i gdy pani Bilińska dla kształcenia dzieci przynosi się do Warszawy, Anna wstępuje najpierw do konserwatorium, a dopiero potem do szkoły Gersona. Pierwsze jej obrazy zwracają uwagę krytyki, przed dziewczyną otwierają się nowe światy. Jako towarzysza bogatej przyjaciółki, zwiedza Włochy. W Wiedniu poznaje rysownika, Wojciecha Grabowskiego. Młodzi szybko się pokochali i... zamienili ze sobą kwiaty. Ona dała mu konwalję, a jego dzwonek polny jest dotąd wpięty w jedną z kart jej pamiętnika.

W listopadzie tegoż 1882 roku Anna Bilińska, ze stu pięćdziesięciu rublami w woreczku jedzie do Pa-

*) Dr. Antoni Bohdanowicz. „Anna Bilińska. Kobieta, polka i artystka. W świetle jej dziennika i recenzji”. 1928 rok. Skład główny: „Dom Książki Polskiej”.

ryza. Zabrała ze sobą coś jeszcze innego, skarby bezcenne: swoją w siebie wiarę, gorączkowość pracy, w obawie każdego dnia straconego, na jaką jedynie pierwsza młodość zdobyć się może; marzenia przyszłej działalności pedagogicznej w kraju, o szkole rysunkowej dla kobiet; wielką fizyczną i duchową odwagę, wielką dumę i niezależność. Od osób, które znały ją w pierwszych jeszcze latach pobytu jej w Paryżu, gdy nieraz walczyć musiała z ciężkimi bardzo warunkami materialnymi, nie mało słyszałam o wielkiej godności własnej, jaką Anna Bilińska posiadała, o szlachetnej dumie, odrzucającej każdą pomoc.

Mistrze francuscy uznali jej rysunek za bardzo dobry, nie szczędząc jej rad i słów zachęty. Korzysta z nich widocznie szybko, bo — dostaje nagrody i odznaczenia. Tu, w Paryżu, poraz pierwszy dowiaduje się młodziutka artystka dziwnej rzeczy: „Powiadają, że sztuka istnieje sama dla siebie. Ja trochę innego jestem zdania.

Jej samej własne malowanie zaczyna się nie podobać. Coraz więcej od siebie wymaga, coraz usilniej pracuje. Praca ta nawet z wrażeniami, jakie daje jej Paryż, nie może pochłonąć wszystkich jej myśli. Myśli też wiele o biednym Wojtku, którego przełożyła nad bogatego pana Lucjana. Grabowski jest wciąż chory. Wydawca dołączył do „Pamiętnika“ listy do niego. Pełne są troski o zdrowie; daje mu też rady techniczne z dziedziny wspólnej sztuki, o miłości prawie nie mówi; swoje do niego uczucia, zamiast własnymi słowami, wyraża słowami piosnki. Jakie to młode!

Pamiętnik przeplatany jest piosnkami, które śpiewać sobie musiała i notowała je później, jako nastrojów owej chwili. Jest w tem bezpośredniość, która przełamuje oddalenie lat blisko pięćdziesięciu, dzielących nas od chwili, gdy młoda malarka zabierała się coraz energiczniej — „na podbój światów“, jak się wówczas mówiło. Atmosfera lat dawnych, czysta atmosfera miłości do sztuki, bije z każdej strony pamiętnika. Zachwyty dla Paryża, dla jego przeszłości, bogactw — widoczny; ale współczesne życie francuskie budziło we wrażliwej dziewczynie pewne niepokoje. „Przepych, blask, a może w gruncie rzeczy — błoto?“. Jednak i w niej samej zachodzą pewne zmiany, spowodowane warunkami zewnętrznymi. Ukraiński kozaczek przedzierzga się w kobietę. Już za jej ostatnim pobytem w domu rodzicielskim zdecydowano, że stała się „myślą panna“ teraz, porównując się z jakąś piękną kobietą, poraz pierwszy spojrzęła na siebie od zewnątrz i doznała uczucia zazdrości, z którego tak szczerze sama przed sobą się spowiada!

„Nie lubię emancypantek — tych, z krótkimi włosami, co udają mężczyzn i brawurą myślą osiągnąć szczęście!“, ale zbyt pochłoniętą była pracą, zbyt złego o swej powierzchowności mniemania, żeby się swą osobą zajmować. Jakiś wieczór u Chelmońskich

otworzył jej oczy. „Byłam podniecona, ożywiona, wesółą prawie. Lecz myślą ciągle byłam z nim (z Grabowskim); żalowałam, że go niema, że mnie nie widzi — kokieterja kobieca! — wiedziałam, że wyglądam lepiej niż zwykle“. Tegoż dnia oświadcza sobie. „Przepadam za tańcem i nawet mężczyźni się już nie boją“. Po tych chwilach młodych i beztroskich zwyciężeń przychodzi jeden cios za drugim: śmierć ojca, śmierć przyjaciółki, śmierć ukochanego.

Wezwana wiadomością, że jest bardzo źle z Grabowskim, śpieszy do Lwowa, żeby usłyszeć z ust umierającego słowa pożegnania i żalu: „Biedna moja! sama zostaniesz teraz, sama jedna...“.

Stała przy nim drżąca, nie wiedząc, że patrzy nań poraz ostatni.

Pamiętnik urywa się; już tylko kilka luźnych kartek, na których słowa bólu skreśliła. „Płacę ciągle, jak dziecko“. „Zieloność, morze, wszystko źle dziś wpływa na mnie, bo wszystko stawia mi przed oczyma ciebie, mój jedyny, ciebie, którego niema!“. Myśli o śmierci, leżeć pragnie koło niego. „Kwiatków nasypcie nam dużo, dużo, bławatków polnych“. Ale napróżno „po niedoścignione tu szczęście“ ręce wyciąga „w zaświaty“. „Jam słaba bardzo, biedna dziewczyna tylko...“. W rocznicę śmierci Grabowskiego decyduje się wyjechać do kraju; po powrocie stamtąd nie może jeszcze zabrać się do pracy; dopiero po paroletniej przerwie wstępuje do Akademii Juliana, teraz jako kierowniczka pracowni; zarządza nią, daje wskazówki i tematy, zastępuje profesora. Jednocześnie z małej pracowni przy ulicy Fleurs, gdzie już do końca życia pozostała i gdzie co środa gromadzili się rodacy i przyjaciele, wychodzić zaczyna dzieła, zdobywając sobie uznanie Paryża i całego świata. Krytyka wita „wschodzącą gwiazdę polarną“ bardzo życzliwie, zachwycając się jej portretami, kwiatami i pejzażami; oczekuje jednak większych kompozycji, których artystka dać jednak nie miała czasu.

W 1892 wyszła zamaż za doktora Bohdanowicza, a w niecały rok potem, 8 kwietnia 1893, zmarła w Warszawie, uczczona wspaniałym pogrzebem. Mąż jej, prześladowany przez władze rosyjskie, zaraz potem musiał opuścić kraj. W Paryżu znalazł dziennik artystki, lecz przez lata całe skarb ten przechowując, nie śmiał go dotknąć. „Kilkakrotnie brałem go do ręki“ — mówi we wstępie do książki — „wiedziałem, że miłować wiecznie nie mogę, że winienem jej wiele, że jeżeli nie o kobiecie, to o artystce dać światu znać muszę, przypomniać muszę o wielkiej, zapomnianej“.

Wdzięczni jesteśmy doktorowi Bohdanowiczowi, dla którego przez lat trzydzieści myśl o Annie Bilińskiej była „rodzajem modlitwy“, że pamięć „żywota jej i trudów“ z takim pietyzmem przechował i w przeddzień swego skonu oddał go nam, jako znak widomy tej pięknej duszy i tych bohaterskich czasów.

WYSTAWA POŚMIERTNA Ś. P. NOAKOWSKIEGO W „ZACHEŃCIE“ WYSTAWA „SZTUKI“ W ZWIĄZKU PLASTYKÓW

Architektura, wnętrza, ruiny, wiernie zachowane „w stylu“ — alboż to nie jest malarstwo naturalistyczne? Kopjowanie rzeczywistości?

Jeżeli można mówić o twórczości, poczętej w wizji, o przetapianiu w kształt plastyczny wewnętrznego widzenia — to taką jest sztuka Stanisława Noakowskiego. Świat dookoły, przedmioty, urobione ręką ludzką, domy i pałace — spełniają u tego artysty rolę podwójną: najpierw, w samym zezątku właściwego procesu twórczego, służą tylko, jako bodźce czysto zewnętrzne, jako poprostu „preteksty“, niezbędne dla wzniesienia wewnętrznego ognia. W tem płomieniem marzeniu, niejako w „plastycznym śnie“ — następuje transfiguracja, nowe ukształtowanie poszczególnych fragmentów i ułamków — zwierranie ich w nieoczekiwane całości. I ten sam dom, czy pałac, który miał zostać wiernie skopjowany, ukazuje się na obrazie — ten sam, a przecież inny: odbicie, ale zbożacone i zubożale zarazem. Wtórne odbi-

cie, którego oryginał znajduje się w sferze marzenia.

Noakowski ukochał architekturę. Nikt tak, jak on, zdawał się nie znać fachowo na poszczególnych stylach, na charakterze epok historycznych, na specyficznych właściwościach poszczególnych wnętrz, motywów zdobniczych — aż do najdrobniejszych szczegółów i szczegółików — które, dopiero razem wzięte, tworzą syntezę danego „porządku“ architektonicznego. A zarazem nikt tak, jak on, nie potrafił ukazać w obrazie architektury czarodziejskiej niemal że, architektury z innego wymiaru. Niewątpliwie, najsurowszy fachowiec nie mógłby zarzucić jego wnętrzom stanisławowskim, czy też fragmentom murów gotyckich, że nie są utrzymane z niesamowitą wprost intuicją w stylu XVIII, względnie XIII stulecia. A jednocześnie — ani jeden chyba z pośród najzdolniejszych budowniczych nie potrafiłby skonstruować budowli ściśle według tych kolorowych „planów“ artysty. Albowiem — jak to już było powiedziane — te plany czynione są nie z realnych, trójwymiarowych obiektów, lecz z dziesięcio — czy dwudziesto- czy może wogóle bez - wymiarowych wizyj architekta - malarza — a przedewszystkiem — poety.

Obecna — niestety, pośmiertna — wystawa dzieł Noakowskiego dobrana została najwidoczniej-bardzo troskliwie. Mamy tu obrazki dawniejsze — przedwojenne — i późniejsze, i z ostatniego okresu przed śmiercią. Jakże niezwykła jest technika tych drobnych przeważnie akwarelek, w których zapomocą kilku zaledwie plamek — rzutów niemal pendzlem — artysta tworzył rzeczywistość architektury! Właśnie architektury — najsolidniejszej, najsurowszej, „najtrudniejszej“ sztuki, sztuki - rzemiosła!

* * *

Na tej samej wystawie „Zachęty“ zwracały uwagę rzeźby p. Nitschowej. Bardzo mocne w ekspresji i szczęśliwie rozwiązane formalnie — zwłaszcza dwie głowy męskie. W swem dążeniu do uproszczenia, a zarazem do wydobycia pewnych interesujących momentów charakterystyczno - groteskowych — zatrzymała się może artystka w pół drogi. Dlaczego?

Wystawa krakowskiej „Sztuki“ w Związku Plastyków przy Nowym Świecie przynosi kilka bardzo ładnych, bardzo mocnych prac — a przedewszystkiem, poza taką czy inną jednostkową rewelacją, ogólną kulturalną atmosferę i powiew pewnej solidności. Może nieco dziwnie brzmi to zestawienie „powiew—solidności“ ale da się ono usprawiedliwić faktem, że owa „solidność“ jest przedewszystkiem natu-



Noakowski—wnętrze Wawelu

Photo-Plat



Mehoffer—portret męski

Photo Plat

ry kolorystycznej, odnosi się do traktowania farby. „Sztuka”, to stowarzyszenie artystyczne, zawiązane pierwotnie pod hasłem impresjonizmu, dziś, oddalając się mniej lub więcej od swych założeń — (przeważnie zresztą mniej, niż więcej) — zostaje w każdym razie wierne tradycjom kolorystycznym. I praca nad barwą jest w tych obrazach widoczna — uczciwa, surowa, nieustająca — ciągle pogłębianie tajemnicy tego zjawiska, bez którego świat straciłby najpiękniejszy swój uśmiech: koloru.

Dla Mehoffera ten kolor zawsze jeszcze jest funkcją dwóch rzeczy: przedmiotu i światła. Kolor wypełnia przestrzeń, kolor drży, załamuje się pod wpływem światła. Kolor nie jest tu czemś samem w sobie, bytem samoistnym. Mimo to traktowany jest on — niejako w zakresie swego władztwa — z całym pietyzmem. Pierwszorzędny „Byk” jest bodaj najlepszy z pośród wszystkich obecnie wystawianych dzieł artysty.

Na pierwszy plan wysuwa się Wojciech Weiss, dla którego kolor jest niewątpliwie czemś materialnym, czemś nad miarę realnym, poprostu jest *miąższem rzeczywistości*. I największe zwycięstwo z tego punktu widzenia zdają się osiągać nie „modelki”, „martwe natury”, radosne w swej tonacji barwnej, lecz właśnie obraz „W pracowni”, szary w tonacji, a przepojony jakimś wewnętrznym drganiem, wibrujący utajoną świetlistością — żywy. Pozatem doskonały w swej kompozycji przestrzennej.

Zbigniew Pronaszko wystawia kilka obrazów, niezmiernie subtelnie różnicowanych, w których poszczególne odcienie zdają się odpowiadać już jakimś wartościom „atomowym”, niepodzielnym. Jakby każdy pojedynczy włoszek rozszczerzonego pędzelka posiadał władzę wydobywania odrębnego pół — czy też ćwierć - tonu barwnego.

Starsza generacja naszych malarzy krakow-

skich uchyla od czasu do czasu drzwi do tej świątyni, w której Warszawa artystyczna nie umie się jeszcze modlić. Bodażby już wreszcie sztuka polska przyjęła obrządek ludów Południa i Zachodu; bodażby nauczyła się już święcić objawienie Koloru! l. j.

Z ŻYCIA EKRANU

(W przededniu nowej ery — „Ostatni rozkaz” — Dary Europy)

Dziś, kiedy filmy „dźwiękowe” i „mówione” są ostatnim krzykiem mody, a może zarazem pierwszym krzykiem — rodzącej się jakiejś nowej sztuki, — stosunek mój do filmu niemego staje się prawie... sentymentalny. Może film niemy jest istotnie czemś, co się już kończy i nigdy nie wróci, może od dziś za rok lub dwa będziemy się tak samo zaśmiewać, patrząc na dzisiejsze „arcydzieła” filmowe, jak zaśmiewaliśmy się w roku zeszłym na filmach, robionych przed dwudziestu laty. Bo tempo życia jest przecież coraz szybsze. Dlatego też, zanim uderzy na nas z ekranu fala słów, dźwięków, szmerów i hałasów, przed którymi już nigdzie nie będzie schronienia — zarejestrujmy, choć pośpiesznie, to, co nam niesie Tacita, może już jako dary ostatnie.

Sezon obecny jest istotnie ubogi w obrazy pierwszorzędne, w „przeboje” i „szlagiery”, idące tygodniami w kilku kinach jednocześnie. A jednak nie przypuszczam, żeby to oznaczało zmierzch niemej sztuki; jest to raczej skupianie sił, przetrwanie i przetapianie zdobyczy już osiągniętych, na jakies nowe wartości; poszukiwanie, pogłębianie, tworzenie. Nienasycone oczy widzów żądają wciąż nowego pokarmu, nie uznają pauz ani powtórzeń. „Nowości żądamy, nowości!” wołają pożeracze wrażeń, nie zastanawiając się nad tem, że sztuka — to nie jest galanterja, w której można co sezon ofiarowywać „coś nowego”. Talenty filmowe (tak samo zresztą jak literackie, muzyczne, plastyczne i t. d.) nie rodzą się na kamieniu. Trudno wymagać, żeby każdy reżyser, których naprz. St. Zjednoczone liczą już na setki, był wybitną indywidualnością, mogącą pchnąć film na nowe tory.

Niektórzy krytycy filmowi widzą upadek kina przedewszystkiem w produkcji amerykańskiej, uważając Stany Zjednoczone za ojczyznę filmowej tępoty, szablonu i efektów, obliczonych na poklask tłumu. Zarzut ten można przyjąć, jako słuszny, jednak z wieloma zastrzeżeniami. Musimy wziąć pod uwagę, kto jest odbiorcą filmów w Stanach Zjednoczonych. Nie jest nim tylko mieszkaniec wielkiego miasta, inteligent, smakosz, poszukiwacz nowych „dreszczów”, ale — setki tysięcy ludzi z najrozmaitszych warstw społecznych, dla których kino jest najulubieńszą i najdostępniejszą rozrywką i musi być dostosowane do ich

umysłowości. Stąd pewnego rodzaju „standaryzacja” filmu amerykańskiego, przystosowywanie go do wymagań i gustów różnej publiczności, co nie wyklucza jednak dążenia do prawdziwej twórczości w tej dziedzinie, do stawiania sobie i rozwiązywania zadań tylko artystycznych. Bo to, że w Ameryce zdarza się najczęściej, iż film artystyczny jest jednocześnie filmem kasowym, nie może być chyba okolicznością obciążającą, gdyż nie jest wcale dowiedzione, iż wszystkie obrazy eksperymentalne i takie, na których „publiczność się nie poznała”, już przez to samo kryją w sobie jakieś specjalne walory artystyczne. Zdarza się przecież i w innych dziedzinach twórczości, że dzieło wartościowe znajduje od razu uznanie publiczności (książka, obraz, symfonia i t. d.).

Będąc osobiście daleką od przesady twierdzenia, że tylko i jedynie Amerykanie „rozumieją, co to jest kino” — bo i taki pogląd jest dość rozpowszechniony — nie mogę się zgodzić również z przypisywaniem wszelkich „odkryć” w tej dziedzinie jedynie Europie. Czy nie z Ameryki przyszedł naprz. film kameralny, który stworzył już „szkołę” (właśnie od dziś wyświetlają w Warszawie europejski film tego typu p. t. „Powrót z niewoli” w realizacji Joe May’a, znanego z pierwszych filmów „monumentalnych”, jak „Grobowiec indyjski” lub „Władczyni świata”). Inna kwestja, że właśnie tam, gdzie chodzi o jakiś nowy kierunek i o przełamanie szablonu — niema filmów amerykańskich, ani europejskich — jest tylko indywidualność twórcy, względnie twórców filmu (reżyser w pierwszym rzędzie, dalej — operator, scenarzysta, gagman, aktor). To też ostatnie wybitne obrazy nie są „czystej krwi” obrazami amerykańskimi, choć narodziły się w wytwórniach, położonych po tamtej stronie oceanu („Wschód słońca” — reż. Murnau, „Burza” — reż. Taylor i Turzańskij, „Ostatni rozkaz” — reż. von Sternberg i t. d.). Wogóle wzajemne przenikanie wpływów „krzyżowanie” aktorów i reżyserów zatuszowało w znacznym stopniu odrębności, tak wybitnie cechujące jeszcze do niedawna obrazy amerykańskie i europejskie. Weźmy, naprz. „Ostatni rozkaz”, w którym nie znajdujemy absolutnie nic z tego, co przywykliśmy uważać za „amerykanizm”. Niema tam, bowiem, ani szczęśliwego zakończenia, ani podziału na typy dodatnie i ujemne, które spotyka zasłużona nagroda lub kara, ani — co najważniejsza — amerykańskiego optymizmu, wiary w ludzi, w życie, w ideały. Wprost przeciwnie: — jest to naszkicowany kilkoma mocnymi pociągnięciami obraz brutalnej siły, przemocy fizycznej i moralnej, druzgocącej bezapelacyjnie każde delikatniejsze uczucie, każdy szlachetniejszy odruch. Nie chodzi tu tylko o wybuch zwierzęcych instynktów zrewolucjonizowanego tłumu (sceny w pociągu) — to się widziało już nieraz. Ale niemniej okrutnie przedstawia się demokratyczne, zorganizowane społeczeństwo (sceny w wytwórni, przyjmowanie statystów,

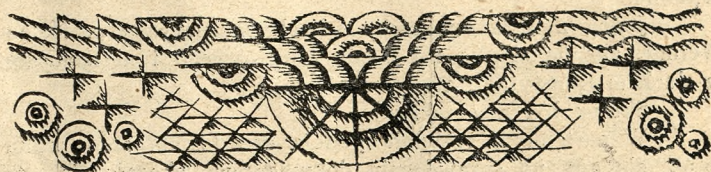


Scena z filmu „Ostatni rozkaz”

stosunek do nich). I tu i tam godność ludzka jest doszczętnie sponiewierana przez tych, którzy w danej chwili mają siłę, władzę lub... pieniądze. Sceny w wytwórni, oddane z obiektywnym realizmem, pozwalają nam spojrzeć na stronę amerykańskiego życia, daleką od oglądanych zwykle na ekranie idylli w dziedzinie pracy. W „standardowych” filmach amerykańskich każdy nie tylko może dostać pracę, ale z łatwością awansuje i wkrótce zostaje milionerem, co, oczywiście, działa świetnie na psychikę widza, jest metodą zbiorowej auto-ugestji i napewno daje lepsze wyniki, niż nawet powtarzane co rano formułki: „Jestem zdrow”, „jestem wesoły”, „będę bogaty”, „życie jest piękne” i t. d.

Widzimy więc, że w „Ostatnim rozkazu” nietylko niema ani śladu amerykańskiej ideologii, ale jest nawet coś, co nie wzrusza, lecz targa nerwami, coś, co wywołuje w widzu uczucie buntu. Wrażenie jest może tem silniejsze, że obraz ten ma świetnie zbudowany scenariusz (jeden z najlepszych, jakie znam), niezmiernie „kinowy”, ujęty w syntetyczne skróty — że w realizacji jest niezachwiana rytmika i jakiś zimny patos, któremu trzeba się poddać. Tak więc z „amerykańskości” została w tym amerykańskim obrazie tylko mistrzowska technika i świetna forma. Zastrzyki europejskiej krwi bezwzględnie przyczyniają się do świetności filmów amerykańskich, ale trzeba przyznać, że ta odżywcza krew często zawiera także kilka kropel... trucizny.

Stef. H.



Kobieta w świecie i w domu

Z KOMITETU WYSTAWY PRACY KOBIEC.

Komitet Bazarowy Wystawy Pracy Kobiet na P. W. K. w Poznaniu 1929 r. zawiadamia Wytwórnice i Wytwórczynie, że z dniem 11 marca b. r. rozpoczyna przyjmowanie eksponatów, przeznaczonych do sprzedaży w Bazarze Pracy Kobiet — codziennie od godz. 11 do 1, na Zamku — Biuro Komitetu Wystawy Pracy Kobiet — wejście przy bramie zegarowej.

LADY ASTOR O NOWYCH PRAWACH WYBORCZYCH KOBIECZY ANGIELSKIEJ.

Słynna działaczka na niwie emancypacji kobiecej udzieliła wywiadu przedstawicielowi „Neue Freie Presse“.

Na pytanie korespondenta, czy prawdą jest, jakoby wolność, którą kobiety zdobyły w ostatnich latach, wywarła zły wpływ na młode pokolenie — lady Astor odpowiedziała: „Niedorzeczność! Napewno są lepsze od swych babek! Nie są tak obłudne! Pokazują swe wady tak samo, jak pokazują swe nogi! Ale wszystko to, co się widzi jasno, jest już nawpół uzdrowione. Tylko rzeczy utajone są niebezpieczne i wywołują nieszczęścia“. — Dalej lady Astor zadeklarowała się, jako zwolenniczka rozszerzonego prawa wyborczego kobiety (t. j. prawa głosowania dla „podlotków“ — od lat 21), ponieważ uważa to za słusze i sprawiedliwe. Działaczka angielska sądzi, iż nowa odpowiedzialność, jak zwykle, tak i teraz, wywoła pragnienie podłożenia jej i pobudzi do myślenia. Kobiety pod tym względem nie różnią się od mężczyzn.

CICHA DEMONSTRACJA KOBIECZY FRANCUSKICH I KŁOPOTY POLICJI PARYSKIEJ.

Pomimo, że Francja przoduje zawsze w rozwoju kultury i cywilizacji — pomimo, że aż przysłowiowa jest jej „postępowość“ — dotąd jednak nie uregulowała kwestji równouprawnienia kobiet.

Sufrażystki francuskie od dawna o to walczą.

Pamiętamy różne metody tej walki.

Obecnie jednak bojowniczkami o równouprawnienie obrabują metodę zaiste oryginalną, kto wie, jednak, czy nie skuteczniejszą.

Oto codziennie przed gmachem Senatu przechadza się po kilka, po kilkanaście kobiet, jakgdyby były na najniewinniejszym w świecie spacerze. Spokojnie, cicho, bez wznoszenia okrzyków, bez szarpania się z policją — i tylko na kapeluszach mają przypięte karty z napisem „Kobiety powinny głosować!“ —

Ta cicha manifestacja podobno okropnie denerwuje panów senatorów i drażni policję francuską, która nie wie, jak ma się zachować wobec manifestantek, nie zakłócających przecie spokoju publicznego.

Pomimo to, aresztowano kilka z uczestniczek milczącego żądania.

Jedna z nich, znakomita adwokatka paryska p. Marja Verone, złożyła skargę z powodu bezprawnego i niezgodnego z duchem Konstytucji aresztowania jej.

Skutek był nieoczekiwany.

W następnym tygodniu policja aresztowała znów kilka osób, ale gdy po sprawdzeniu dokumentów okazało się, że

w grupie tej jest kilka adwokatek — wszystkie aresztantki natichmiasz zwolniono.

Paryż ma niemalą sensację.

Wszystkie pisma humorystyczne zamieściły moc złośliwych dowcipów na temat policji paryskiej.

Sufrażystki — demonstrują.

Kropla wody — skałę draży.

Niechby już wydrażyła całe koryto, którem popłyną debaty nad kwestją, która już dawno powinna być na wokandzie.

CZEMU ZAWDZIĘCZAJĄ JAPONKI SMUKŁOŚĆ SWOJEJ FIGURY

Smukłość figury jest wśród Japonki zjawiskiem powszechnym. Do tego, by zachować szczupłość, posługuje się japonka całym szeregiem zabiegów, które stosuje niezwykle skrupulatnie. Przedewszystkiem więc — częste kąpiele, które w Japonki należą do religijnego rytuału. Japonka kąpie się w gorącej wodzie, po kąpielu oblewa ciało zimną wodą, poczem wyciera się ostrym ręcznikiem. Aby zbyt gorąca kąpiel nie zaszkodziła organizmowi, japonka dodaje do niej pewną ilość soli morskiej, bardzo pożytecznej dla organizmu, działającej odtłuszczająco. Drugim zabiegiem, zabezpieczającym przed tyciem, jest sypianie na twardych łózkach. Łóżko japonki — to nizutki drewniany leżak, na który kładzie się cienki materac, a pod głowę wałek drewniany owinięty materją. Takie sypianie wzmacnia mięśnie i zapobiega tworzeniu się osadów tłuszczowych na szyi, ramionach i biodrach. Japonki nie głodzą się, spożywają nawet bardzo wiele ryżu. Potrawy ich jednak zawierają minimalną ilość tłuszczu. Nie pijają przy jedzeniu, nie używają napojów alkoholowych, za to w ciągu dnia wypija japonka wielką ilość małych filiżanek herbaty, bez cukru. Piją dużo świeżej wody, twierdząc, iż działa ona odświeżająco na tkanki ciała, oraz zapobiega marszczeniu się i szorstkości skóry.



Pp. Autorki i Autorzy, nadsyłający prace do Redakcji „Bluszczu“, proszeni są o wymienianie w liście:

1) Czy życzą sobie, w razie nieprzyjęcia artykułu, mieć odpowiedź w tej sprawie;

2) jeśli tak, to w liście prywatnym, czy na łamach „Bluszczu“ (w odpowiedziach Redakcji).

W pierwszym wypadku koniecznym jest przysłanie adresu i znaczka na odpowiedź; w drugim: zaznaczenie, czy odpowiedź ma być opatrzona inicjałami lub pseudonimem, czy też pełnym imieniem i nazwiskiem.

Do wiadomości pp. Autorów i Autorki podajemy, że drobne rękopisy (wiersze i krótkie nowelki lub artykułiki) zwracane nie będą. Dłuższe utwory będą zwracane tylko wraz z nadesłaniem znaczków na koszt przesyłki, lub oznaczenia terminu osobistego zgłoszenia się, nie przekraczającego jednego miesiąca.

Rękopisy muszą być przepisywane na maszynie po jednej stronie arkusza, lub pisane b. wyraźnie bez żadnych przekreśleń i poprawek.



Wanda Gentil Tippenhauer — Król Bolesław Chrobry — Batik.

NASZE WNĘTRZA, A ROZWÓJ POLSKIEGO PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO

— Powiedz mi, jak mieszkasz — powiem ci, kim jesteś — jest to powiedzenie, które dla nas wypadło trochę żenująco. Mieszkamy, w znacznej większości wypadków, brzydko. I to nie tylko z powodu ciężkich warunków ekonomicznych i mieszkaniowych, lecz bardzo często wskutek własnej niewybredności. Zdawałoby się, że im mniejsze mamy mieszkanie, tem więcej troskliwej myśli należałoby poświęcić przedmiotom, które je wypełniają. Nie powinniśmy tolerować koło siebie rzeczy przypadkowych, brzydoty i tandety, gdyż codzienne z nimi obcowanie musi stopniowo, lecz pewnie, obniżać nasz poziom kulturalny.

Niestety! jakże wiele jest osób, zdobiących swój jedyny pokój papierowymi kwiatami, wstawionymi w szpetny wazon niemieckiego pochodzenia! Złotówki wydane na brzydkie i liche wyroby niemieckie, odpływają szerokim korytem zagranicę. A nasz własny przemysł artystyczny dusi się z braku gotówki na niezbędne do pracy materiały. I nawet w tych, nieprawdopodobnie trudnych warunkach stworzone dzieła naszych artystów zdobywają uznanie zagranicą... u nas zawsze znacznie później. Polski batik zdobywa pierwszą nagrodę na Wystawie Paryskiej. Wystawy Polskiej Sztuki Dekoracyjnej budzą ogólny zachwyt w Paryżu, Hadze i Medjolanach. W Katowicach niedowierzanie: — czy to aby naprawdę polskie, bo takie ładne? — A w Warszawie, w tym roku poraz pierwszy udało się przedstawicielkom stowarzyszenia „Polska Sztuka Dekoracyjna“ wywalczyć dla prze-

mysłu artystycznego oddzielną salę, podczas dorocznego Salonu w Zachęcie.

Niewielka to była sala, ale triumf był wielki, bo pionierom polskiego zdobnictwa udało się stworzyć pożądaną precedens. Nareszcie publiczność stołeczna miała sposobność obejrzenia polskich wyrobów artystycznych, nie stłoczonych w oknie jakiegoś, niechętnie udzielającego gościnny, sklepu z zabawkami, lecz ugrupowanych harmonijnie i celowo. Nareszcie przekonano się, czem może być tak zbanalizowana przez niewłaściwe zastosowanie technika, jak batik, interpretowana przez artystkę tej miary, co panna Wanda Gentil - Tippenhauer. Trzeba mieć przynajmniej podstawowe pojęcia o sposobie barwienia batików, aby ocenić benedyktyńską cierpliwość, z jaką batik p. Gentil - Tippenhauer zostały wykonane. Taki „Sobieski pod Wiedniem“ lub „Król Bolesław Chrobry“ — to istne arcydzieła kompozycji batikowej. Drobne stylizowane postacie składają się na arabski ornament. A całość, bardzo swojska, budzi zarazem reminiscencje fresków ze świątyń asyryjskich, gdzie rzeźby lub malowidła ręczne stanowią szczegółowe opowieści o podbojach i klęskach — całe rozdziały historii.

Młodziutka artystka, panna Hanka Henneberg, wystawia batiki, odznaczające się zupełnie wyjątkową świeżością i czystością kolorytu, tak bardzo trudną do osiągnięcia. Jedną z najdawniejszych pionerek polskiego zdobnictwa, p. Natalja Bobrówna, spe-

cializuje się w intarsjach drzewnych, które, choć daleko odbiegły stylem od swych japońskich pierwowzorów, mogą zato z nimi konkurować pod względem precyzji wykonania. Przykre uczucie wstydu ogarnęło mię mimowoli, gdy się dowiedziałam, oglądając wyroby z trawionego metalu pana F. Tobery, że artysta nie ma dotąd odpowiedniego warsztatu i zmuszony jest do pracy w ciemnej, wilgotnej i dusznej piwnicy, wśród trujących wyziewów trawionego metalu.

Życie powojenne, przymus urządzenia sypialni, gabinetu i jadalni w jednym odnajętym pokoju o brzydkich tapetach — nauczyły nas, a przynajmniej powinny były nauczyć, nieocenionych zalet dekoracyjnych i praktycznych tkaniny. Tkanina może być użyta, jako zasłona i przegroda między różnymi częściami pokoju. Tkanina zakrywa dziury i plamy w ohydnej tapecie. Tkanina wreszcie nadaje zimnemu, przygodnie umeblowanemu pokojowi charakter ciepły i zamieszkały. Mniej kosztowna, niż obraz, stanowi zarazem większy wypoczynek dla oka, gdyż treść obrazu nie z każdym godzi się nastrojem. Mamy dwa rodzaje, wybitnie polskie, tkaniny dekoracyjnej: makatę buczacką i kilim. O kilimach i tkaninach

„Ładu“ pisałam na tem miejscu obszernie. Jest jednak szereg utalentowanych artystów polskich, nie związanych z „Ładem“, którzy wyrabiają kilimy, bardzo pod względem artystycznym ciekawe. Złotolita makata buczacka jest chyba jedną z najpiękniejszych tkanin na świecie. Obok oryginalnych, są również bardzo udane naśladownictwa makat buczackich, wyrabianych w szkole przemysłu artystycznego pod kierownictwem pani E. Onichimowskiej.

Rozwój sztuki dekoracyjnej w Polsce — to nie tylko zatrzymanie polskiego pieniądza w kraju, nie tylko warsztaty pracy dla wielu bezrobotnych, lecz przede wszystkim droga do stworzenia w polskich domach swojskiego wnętrza — wnętrza, w którym będziemy się czuli naprawdę dobrze i naprawdę u siebie.

Jadwiga Kiemnarska.



PRAKTYKANTKI W GOSPODARSTWACH WIEJSKICH I MIEJSKICH

Obecne pokolenie gospodyń prawdopodobnie nie zna cyklu powieści niemieckiego satyryka Stindego z przed pół wieku, opiewającego z wielkim humorem i ciętym dowcipem dzieje berlińskiej rodziny Buchholców, z wysunięciem na pierwszy plan pani Buchholcowej. Przeżycia jej z praktykantkami, wprawiającymi się w niemieckich lepszych gospodarstwach w tajniki gospodarstwa domowego pod kierunkiem zabiegliwych pryncypałek, które wołać mają do czynienia z taką „podporą“ (Stütze) niż ze służącą — dały mu bogaty materiał do obrazu obyczajowego ówczesnych Niemiec.

Ale i Polska, dawniej może, niż Niemcy, miała swój oryginalny typ praktykantek, choć o zupełnie innym charakterze i nie w mieście, a na wsi. Były to pauny respektowe w wielkopańskich domach, których całe zastępy, liczące czasem do stu dziewcząt, kształciły się we wszystkich działach nie tylko gospodarstwa domowego i zarządu spiżarnią, apteczką, kuchnią i pralnią, w dysponowaniu i nadzorze służby — ale i w całokształcie gospodarstwa wiejskiego. Ten całokształt rozciągał się wówczas bardzo szeroko: nierzadko obejmował włości o wielu folwarkach, pozostawione pod zarządem pani, podczas gdy mąż przebywał na wojnie, albo piastował urząd w stolicy. Rozciągał się nie tylko na dwór, ale obejmował i wsie; mamy nawet ciekawe i nader cenne dokumenty zdolności administracyjnych naszych magnatek, jak „Ustawy powszechne dla dóbr moich rządców“, wydane przez ks. An-



Wanda Gentil-Tippenhauer — Makata Górska — batik.

nę Jabłonowską, wojewodzinę braclawską, w końcu osiemnastego stulecia. Dzieło to, niesłychanie ciekawe, obejmuje tysiące szczegółów praktycznych i humanitarnych zarządzeń, a nie brak między nimi takich, któreby dziś w całości mogły być stosowane.

W dość szerokim zakresie istniał w Wielkopolsce, w końcu ubiegłego stulecia i później, zwyczaj przyjmowania przez większe dwory kilkunastu praktykantek, czyli elewek; organizacja ta miała cel nietylko praktyczny, ale jednocześnie narodowy, chodziło bowiem o wyrobienie zastępów dziewcząt z ludu, uświadomionych praktycznie, przejętych duchem polskim, mogących stanowić pancierz przeciwko germanizacji polskiego ludu pod zaborem niemieckim.

W 1905 r. zapoznałam się w Dobrojewie p. z Lubomirskich Kwileckiej z bardzo praktycznie i celowo zorganizowaną praktyką dla 12 elewek, przechodzących kolejno wszystkie działy wzorowego gospodarstwa.

Ćwiczenia w zakresie gospodarstwa domowego w Warszawie próbowała zorganizować u siebie w czasach popowstaniowych Lucyna Ćwierciakiewiczowa, znana w całej Polsce, jako znakomita gospodyni, a poniekąd i typ, zbliżony do typu Buchholcowej. Z zacięciem satyrycznym opisywała ona swe przeżycia i kłopoty z praktykantkami w „Kolendach dla gospodyń”, wydawanych corocznie, które stanowiły alfę i omegę ówczesnej wiedzy gospodarczej.

Do trudności, jakie mimo niewątpliwie obszernej wiadomości praktycznych, sprawiał jej stosunek z „panienkami”, przyczyniał się krewki temperament i brak opanowania, które stały się tematem tysięcy anegdot.

Jeżeli podnoszę dziś sprawę praktyk gospodarczych, to czynię to w przekonaniu, że jest ona obecnie nad wyraz aktualną. Kształcenie gospodarcze kobiet w Polsce jest mało rozwinięte, a istniejące i powstające szkoły nie prędko będą tak liczne, żeby choć w drobnej mierze zaspokoić mogły potrzeby kraju; należy więc uprzystępnąć naszej młodzieży wykorzystanie wiadomości starszego pokolenia, a także tych jednostek młodszych, które jednak zdobyły już to wykształcenie i prowadzą swoje gospodarstwo drogą postępu.

Sprawa ta jeszcze z jednego względu staje się aktualną. W maju zeszłego roku na zjeździe gospodyń w Pradze Czeskiej stanął projekt utworzenia Unji gospodyń zachodnio-słowiańskich; w czasie wystawy poznańskiej ma się odbyć narada przedstawicieli Czech, Jugosławji i Polski dla ostatecznego omówienia punktów stycznych, wśród których wybitne miejsce zajmuje wymiana praktykantek, aby wykorzystać ten teren dla wyrobienia jednostek, mogących grać rolę łączników między zrzeszonymi gospodyniami.

Mamy sporo do nauczenia się w Czechach, zwłaszcza w zakresie organizacji gospodarstwa domowego; ale mamy i w Polsce placówki, których nie powstydzimy się przed czeszkami, zwłaszcza w dziedzinie ogrod-

nictwa i hodowli drobiu. Rozstrzygnięcie więc sprawy organizacji praktyk gospodarczych u nas jest dziś nad wyraz aktualne i powinno być opracowane przez osoby, które praktykantki u siebie przyjmują.

Niestety, mamy takich bardzo mało i konieczną jest silna agitacja mająca na celu zachęcenie praktycznych gospodyń do dzielenia się swoją wiedzą z młodzieżą, a z drugiej strony uświadomienie młodzieży o konieczności przejścia praktyki na cudzem, zanim zaczną prowadzić samodzielne gospodarstwo, lub też będą mogły uczyć inne.

Praktyki gospodarcze ogólne i specjalne istnieją w wielu krajach, a w każdym ujęte są inaczej. Podstawowym celem tych praktyk jest, obok pogłębienia wiadomości teoretycznych, dążenie do wyrobienia tężyzny i zaradności praktycznej przy jaknajwiększej sumie doświadczenia, bez którego wydajna praca wprost istnieć nie może.

Dla zobrazowania charakteru praktyk z zakresu hodowli drobiu w Anglii, zacytuję wyjątki z listów p. Haliny Dochówny, która, chcąc się dostać w roku ubiegłym na wyższy kurs hodowli w Harper Adams, musiała przejść najprzód praktykę w fermie angielskiej.

„Na fermie naszej panuje subordynacja! Nigdy nie okazujemy niezadowolonia, wykonywując najcięższą i najbrudniejszą pracę. Zarządzający ma swego pomocnika, ten dozoruje stare kury i zajmuje się hodową kurników. Pod jego kierunkiem pracuje 3-ch praktykantów, a każdy z nich ma już parę lat praktyki za sobą, więc otrzymują po 5 szylingów (12 zł.) tygodniowo. Jest to mało, jak na angielskie stosunki, ale jest tu taka ogromna różnica między robotnikiem wykwalifikowanym i praktykantem. Rok praktyki uważany jest za nic! Nawet ci, co chcą założyć własną hodowlę, spędzają parę lat na cudzej — żeby potem nie płacić frycowego.

Przy kureczkach jest nas trzy kobiety — jedna z nas nie jest płatną; mieszkamy prywatnie, płacimy za utrzymanie, a na fermie pracujemy od rana do nocy, wywdzięczając się pryncypałowi za daną nam sposobność poznania jego fermy i jego metod. Jedna z moich koleżanek w przyszłości chce być zarządzającą, druga, zamożniejsza zamierza założyć po dwuletniej praktyce własną fermę. Piszę to wszystko, żeby podkreślić, jak hodowla jest tu poważnie traktowana, a praktyka ceniona.

Żeby dodać energii wszystkim praktykantkom w Polsce, opiszę dzień mojej pracy.

Z rana o 7-ej idę z koleżanką moją do kureczek, mijając 36 kurników, aż na koniec fermy; praca rozpoczyna się od przesuwania kurników na nowe miejsce. Jest to ogromnie ciężko: kółka grzęzną w miękkiej rozmokłej ziemi, tak, że trudno z miejsca ruszyć. Angielka, z którą pracuję, silna, wielka, pcha lepiej odemnie, pocieszając mnie, że siły przyjdą z wprawą.

Potem przesuwamy nieskończoną ilość budek

z kwokami, wypuszczamy kurczęta i karmimy je suchą mieszką. Na obiad — przerwa godzinna, i znowu szykowanie paszy, karmienie, pojenie, skrobanie budek, nalewanie nafty do lamp i t. d. Kończymy robotę o 8-ej, ale co drugi dzień o 10-ej wiecz. chodzimy do łęgników. Kładę się spać zboląła, z poobijanymi, opuchniętymi rękami; nie dają się jednak prześcignąć Angielce.

Gdy przyjeżdżają zwiedzający, jestem prezentowana, jako zamorski okaz, pracujący w sukni, a nie w męskim ubraniu; ale buty mam już męskie, na 1½ centymetrowej podeszwie.

Mieszkam przy rodzinie prostego robotnika, ale wygodnie; w kuchni, na czysto nakrytym stole, jada my śniadanie i obiad. W sypialnym pokoju zimno — niema wcale pieca, ani krzesła: nieprzyzwoicie jest siedzieć w sypialni, na to jest salonik“.

Podobne stosunki istnieją w Danji, gdzie młodzież ma obowiązki robotników, ale nie ma ani ich uposażenia, ani przywilejów.

W Francji p. Chodkiewiczówna spędziła sezon hodowlany, jako praktykantka, w najcięższych warunkach, chodząc w nocy do oddalonych o ½ kilometra łęgników i otrzymując pożywienie robotnika; wytrzymała tysiące piskląt i... wytrzymała, a nie tylko wytrzymała, ale zyskała znakomite wyrobienie i podstawy do samodzielnej pracy.

Inne stosunki panują w Niemczech, gdzie sprawa organizacji praktyk ujęta jest w formy prawne: zawierany jest formalny kontrakt między gospodynią (Lehrfrau) i praktykantką, a po skończeniu dwuletniej praktyki następuje obowiązkowy egzamin przed komisją, złożoną z przedstawicielki izby rolniczej, nauczycielki gospodarstwa, gospodyni egzaminowanej i praktycznej nie egzaminowanej.

Prawo przyjęcia praktykantek przysługuje tylko gospodyniom egzaminowanym, mającym odpowiednie wykształcenie i kilka lat samodzielnej, wydajnej pracy. Dnia 22 lutego odbyła się w Warszawie narada w sprawie organizacji praktyk i wzajemnego stosunku gospodyń i praktykantek; stanowiła ona jeden z głównych tematów na IV dorocznym zjeździe Rady Naczelnej gospodarczego wykształcenia kobiet i oparta była na szeregu punktów, przedstawiających materiał do dyskusji.

W wyniku narad wybrana została komisja dla opracowania wniosków i projektu organizacji praktyk, w której skład weszła p. Jarnuszkiewicz ze Snopkowa i p. Wilanowska z Kujaw. Panie, interesujące się tą sprawą, mogą zasięgnąć informacji w Biurze Rady Naczelnej gospodarczego wykształcenia kobiet (Marzałkowska 149, lokal Ziemianek — od 12—2-ej). Jest nadzieja, że przy Radzie zgrupują się wszystkie osoby doceniające ten doniosły czynnik, niezbędny dla dopełnienia nauki gospodarstwa, i organizacja praktyk, tak wiejskich, jak i miejskich, ruszy z miejsca.

M. Karczerowska.

KURSY OGRODNICZO-PSZCZELNICZE

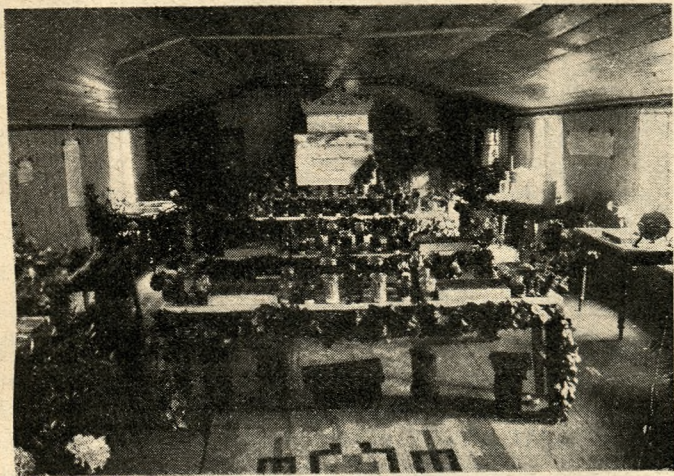
Codziennie setki tysięcy kobiet, kończących średnie zakłady naukowe, ogląda się za zajęciem, za pracą, szuka fachu, któryby dał im możliwość samodzielnej egzystencji. Nie wszystkie mają środki i energję, potrzebną do studjów wyższych; nie wszystkie mają nawet odpowiednie uzdolnienie. I większość, idąc po linii najmniejszego oporu, wstępuje do jakiegoś rządowego lub prywatnego biura, aby tam wędznąć lata całe przy postukiwaniu na maszynie, lub zapisywaniu „pism wchodzących i wychodzących“ w grubych księgach. Bez nadziei lepszego jutra, gdyż prawie zawsze bez nadziei awansu (równouprawnienie mamy tylko na papierze), w wiecznej obawie przed redukcją, dotyczącą przedewszystkiem kobiety. Jedyną nadzieją wyzwolenia ich z tego jarzma nudnej pracy jest zamążpójście — zamążpójście bylejakie i najczęściej nie przynoszące zmiany w sytuacji kobiety — urzędniczki. W większości wypadków wychodzi ona za kolegę z biura, równie mizernie, jak ona, wyposażonego, i dalej stuka na maszynie lub „wciąga przychodzące i wychodzące“ do księgi.

W najlepszym razie zyskuje kochanego człowieka, z którym dzieląc troski powszednie, ma odrobinę szczęścia — najgorsze jednak częściej się zdarzają.

Po latach kilku lub kilku miesiącach — rozstają się — i urzędniczka dalej postępuje na maszynie, pracując, nieraz już nie tylko na siebie, lecz i na dziecko, jedyną pamiątkę małżeńskie eskapady. A jednak nie mają te setki i tysiące kobiet odwagi powiedzieć sobie, że i poza stolicą, poza dużymi miastami jest kraj nasz cały, gdzie ich praca może znaleźć szersze, bardziej wydajne zastosowanie, prowadzona w lepszych dla zdrowia warunkach. Wiemy, że wszystkie wychowanki seminarjów nauczycielskich natych-



Siedziba Tow. Pszczelniczo-Ogrodniczego w Warszawie



Pokaz przetworów owocowych i warzywnych, wykonanych na kursach

miast po ich ukończeniu otrzymują posady. Nieraz w zapadłych kątach, gdzie jedynie piękna idea szerzenia oświaty pomiędzy maluczkimi daje im możliwość zniesienia niewygód i przykrości — lecz posady i możliwość egzystencji dostają zawsze. Jeszcze w większej mierze stosuje się to do absolwentek specjalnych seminarjów, naprzykład: nauczycielek robót lub nauczycielek gospodarstwa.

Chyba nie mniej ważne jest nauczanie ogrodnictwa, pszczelarstwa i zużytkowanie ich produkcji — przetwórstwa owocowego i miodowego.

Od roku 1894 istnieją w Warszawie, przy ulicy Wiejskiej 12, kursy roczne Ogrodnictwo - Pszczelnictwo. Szczupły lokal kursów nie pozwala im na kształcenie liczniejszych rzesz uczniów jednocześnie. Uczniów, gdyż mogą na nie uczęszczać i mężczyźni, jednak jest ich stosunkowo niewiele. W roku bieżącym na 65 uczennic jest 5 uczni — razem 70 słuchaczy i słuchaczek. Już przeszło dwa tysiące osób uczęszczało do tej uczelni; z nich tysiąc czterysta kilkadziesiąt otrzymało świadectwa ukończenia. Wykładają tam siły pierwszorzędne pod niestrudzonem kierownictwem pani Żebrowskiej, ich kierowniczką od chwili założenia.

Program obejmuje: botanikę, chemję, naukę o gruncie, miernictwo, szkodniki i choroby roślin, warzywnictwo, sadownictwo, kwaciarstwo gruntowe i szklarniowe, nasiennictwo; hodowlę roślin leczniczych, bakterjologję fermentacyjną, przeroby owocowe, pszczelnictwo i t. d. — nie mogę tu wyczerpać całego programu.

Największą bolączką kursów jest nieposiadanie na miejscu większego ogrodu do zajęć praktycznych; radzi się temu, pracując w ogrodach członków Towarzystwa. Zresztą od jesieni uczelnia będzie musiała szukać sobie innego dachu nad głową, gdyż na placu, przez nią zajmowanym, zacznie się budowa domu. — los zwykły instytucyj, mających swe locum w śródmieściu. Może szczęśliwy traf da jej możliwość połą-

czenia wygodnej i obszernej siedziby, dającej możliwość podwojenia lub potrojenia liczby słuchaczy — z ładnym ogrodem, mogącym pomieścić również i pasieki.

Ubiegłej jesieni, na pokazie prac uczniów szkoły, dane mi było oglądać i podziwiać wyroby w dziale przetworów owocowych i piernikarstwa. Z nadzwyczajną precyzją wykonane konfitury, jakich się w dzisiejszych czasach pośpiechu i fuszerki prawie nie spotyka, wyborne modne „jam’y”, marmelady i galaretki, serki owocowe, kompoty i konserwy owocowe. Dalej wina owocowe i czysty owocowy ocet, absolutnie nieszkodliwy dla zdrowia. Piękne konserwy jarzynowe z dokładnem zachowaniem ich kształtu i koloru. (szparagi i kalafjory, jakby wprost z gruntu). Wyborne pierniki na czystym miodzie — nie na pato- toce i sacharynie!! Śliczny miód różnych odcieni, zależnie od kwiatów, na których go pszczoły zbierały.

I kiedy się jeszcze dowiedziałam, że te z uczennic, które nie posiadają własnego zagona, aby móc stosować na nim nabyte wiadomości, poznajdowały posady w podobnych szkołach, później powstałych, pracują, jako instruktorki na posadach prywatnych, lub jako samodzielne ogrodniczki, że wiecie z nich zajmuje stanowiska kierownicze w innych szkołach — pomyślałam sobie o tych, postukujących na maszynie, kobietach o zapadłych piersiach i zmęczonym wzroku. Ile z nich mogłoby znaleźć pracę w naszej pięknej, rozległej, a tak jeszcze pod względem kulturalnym zacofanej ojczyźnie, gdyby, zamiast pisania na maszynie lub buchalterji, chciały się uczyć ogrodnictwa i, zamiast wegetować w ciasnym pokoiku, zdecydowały się wyjechać na prowincję, na wieś! Jarzyn, owoców produkujemy za mało, a i te, co gdzieś wyrosną, marnują się przez brak umiejętnego przetworzenia, transportu, konserwowania. Miodu czystego trudno w handlu dostać: przeważnie spotykamy wszędzie fałszowany, gdyż czysty byłby za nadto kosztowny. Nasze konserwy owocowe, co prawda, ostatnimi laty zupełnie wyparły wyroby zagraniczne, lecz jeszcze dużo da się zrobić dla ich udoskonalenia i obniżenia kosztów ich produkcji; wystarczy spróbować jakiegokolwiek konserwy na pokazie kursów ogrodnictwo - pszczelnicznych i takiejże konserwy, wyrobu którejkolwiek z najbardziej renomowanych fabryk.

Pani Elżbieta.



JAK PRYZRZĄDZAĆ GRZYBY NA POTRAWĘ

Przyrządzenie grzybów do spożycia jest bardzo proste. Pamiętać należy jedynie o tem, że grzyby zawierają dużo białka, że białko ścina się w soli, że zatem grzyby należy solić zawsze dopiero po ich ugotowaniu, w przeciwnym bowiem razie grzyby twardnieją i przeważnie dzięki temu tylko stają się niestrawne i, jako takie, przez lekarzy zabraniane. Drugim ważnym czynnikiem strawności grzybów jest sposób ich krajania; grzyb, z natury śliski, dostawszy się w większym kawałku, niedobrze przemyślnym, do żołądka, wymyka się łatwo jego ruchom miążdżącym i zalega.

Należy więc grzyby, po starannem oczyszczeniu i wymyciu ich w zimnej wodzie pokrajać w możliwie najcieńsze plasterki i nie obmywać ich już więcej, ani wyciskając — dusić w kamiennem lub glinianem naczyniu pod przykryciem na *wolnym* ogniu, *bez dodatku wody, soli, ani jakichkolwiek innych przypraw*, tak długo, aż powonienie przekona nas o tem, że grzyby straciły woń surowizny, co wymaga zwykle 10 do 15 minut gotowania; wówczas dopiero należy dodać nieco świeżego masła i, jeśli kto lubi, odrobinę mielonego pieprzu lub drobno posiekanej cebuli, i znów dusić z 5—10 minut; w końcu podlać dobrą kwaśną śmietaną z rozbitą w niej grudką mąki, lejąc ją do grzybów niemal kroplami, by się nie ścieła; dusić znów z 10 minut i wreszcie w miarę posolić, wymieszać, kilka minut jeszcze potrzymać na ogniu i wydać. W ten sposób przyrządzone grzyby są zawsze bardzo smaczne i lekko strawne, nawet dla osób, dotkniętych przewlekłymi chorobami żołądka i jelit, co sam, jako chronicznie cierpiący od wielu lat na niedomogę narządów trawienia, stwierdzam niniejszem na podstawie wieloletniego, a codziennego niemal doświadczenia!

Gdyby jednak dla kogoś i takie przyrządzenie grzybów było połączone z mniejszą lub większą niestrawnością, to zalecam bardzo przyrządzać dla nich grzyby na sposób „szpinaku grzybowego“, to jest przez przecieranie surowych grzybów przez sito z włosa i dalsze przyrządzanie ich, jak wyżej, w postaci papki.

Z grzybów, w czasie czyszczenia ich, nie należy zdejmować skórki, jak to się dotąd jeszcze u nas powszechnie praktykuje, zwłaszcza przy pieczarkach. Tak zwana skórka bowiem (o ile, oczywiście, nie jest trująca, jak u czerwonego muchomora, lub kleista, jak u maślacza i t. p.), posiada zazwyczaj najwięcej wartości aromatycznych i smakowych, żadną miarą nie wpływając na trawienie. Grzyb zaś jest tak cennym darem Bożym, że marnowanie najdrobniejszych choćby jego cząstek bez zasadniczej przyczyny jest praw-

dziwą zbrodnią, zwłaszcza w dzisiejszych czasach drożyzny i niedostatku!

Grzybów nie należy trzymać na ogniu zbyt długo, gdyż im dłużej się gotują, tem bardziej białko ich się ścina! Najłatwiej strawne są grzyby surowe i w tej postaci najgorzej zalecenia godne! Profesor uniwersytetu monachijskiego Schwaegrichen podaje, że w okolicach Norymbergi chłopci w czasie żniw spożywają stale z czarnym chlebem i solą grzyby w rodzaju mleczajów na surowo. Lud nasz powszechnie (zwłaszcza górski) jada mleczaj smacznego (zwanego „krowką“ dla wielkiej obfitości białego, słodkawego soku, jaki z zadanych ran ciecze) w stanie surowym; na wschodzie Polski (zwłaszcza na Huculszczyźnie) zajada cała ludność ze smakiem na surowo gołąbka zielonego, zwąc go stąd „surojedką“; gołąbkami tym, smakującym zresztą podobnie, jak tak zwana „kaszana gruska“, i ja raczę się z upodobaniem w czasie myśli grzybobrania. I wiele, wiele grzybów spożywać można na surowo, z wyjątkiem — wybornych zresztą po ugotowaniu — podpienek i opienek miódowych, które w stanie surowym smakują tak odrażająco, że nawet do wymiotów z obrzydzenia doprowadzić mogą.

Wreszcie dodać tu muszę, że wszelkie przyrządzone już potrawy z grzybów, przechowane w chłodzie i odgrzane, smakują nazajutrz lepiej, niż w dniu przyrządzenia; należy je jednak przechować przez noc w naczyniu, w którym się je gotowało, pod lekkim przykryciem (najlepiej — czystym papierem) i, jak wspomniałem, w miejscu chłodnym, by nie skwaśniały.

Grzyby należy jednak zawsze przyrządzać (choćby tylko podgotować) tego samego dnia po ich zebraniu! Przechowane bowiem grzyby surowe do dnia następnego, jak się to nieraz dzieje u przekupniów, zwłaszcza w zbitej masie (w kcszu) i w ciepłym miejscu, nietylko, że prędko robaczeją i padają pastwa rozlicznych, zdrowiu szkodliwych pleśniaków i bakteryj, ale i podlegają chemicznemu rozkładowi, bardzo niebezpiecznemu dla zdrowia. Aby uchronić się od nabywania u przekupniów grzybów nieświeżych, należy je lekko naciskać palcami: jeżeli pod uciskiem uginają się i zapadają, znak to nieomylny, że grzyby są nieświeże! Grzyby przez cały pierwszy dzień po ich zebraniu są jędrne i pod naciskiem palców nie zapadają się, z wyjątkiem okazów zbyt starych, których wick zresztą łatwo osądzić z wejrzenia.

Przy przygotowywaniu grzybów do suszenia nie należy być zbyt skrupulatnym w wykrawaniu miejsc robaczalnych; t. zw. robaki bowiem w czasie suszenia opuszczają grzyby. Miejsce więc niebardzo przez robaki zżartych, o ile mają wygląd jeszcze świeży, wycinać nie trzeba, aby grzybów jak wyżej powiedziałem, nie marnować. Natomiast z grzybów starych zalecam odrzucić tak zwaną przez górali naszych „skrzadę“ (od staropolskiego „skrzat“, tyle, co gnom, chlich), t. j. cały spód kapelusza (zarodnia), która

w czasie suszenia nader łatwo gnije, pleśnieje i roba-
czeje.

Niektórzy autorowie zalecają używać przy gotowaniu grzybów dwuwęglanu sody (soda czyszczona, natron), albo wody alkalicznej, a to w celu tem łatwiejszego rozpuszczenia fuginy (pewne, ciężko strawne, stosunkowo nieliczne, cząstki białka grzybowego). Nauczony doświadczeniem, sposobu tego jednak nie doradzam; zysk bowiem z wydobycia większej ilości białka jest daleko mniejszy, niż strata w smaku, gdyż i soda i wody alkaliczne zmydlają grzybowe tłuszcze, a zwłaszcza olejki eteryczne, tak, że w ten sposób przyrządzona potrawa traci conajmniej pomysłami, jeśli już nie wyraźnic — mydłem, szczególnie przy gotowaniu grzybów świeżych. Natomiast doskonałym dodatkiem przy przyrządzaniu grzybów (zwłaszcza na konserwy w occie) jest świeży sok cytrynowy w małej ilości, który nie tylko smak grzybów podnosi, ale sprawia, że grzyby w czasie gotowania nie czernieją. Sok cytrynowy należy dawać w pierwszym stadium gotowania grzybów.

Przy sporządzaniu potraw z grzybów suszonych obowiązują winien następujący przepis generalny: grzyby, wymyte starannie potrzykroć w zimnej wodzie, wyciska się lekko w ręce, kładzie w naczynie kamienne i zalewa po wierzch grzybów (nie naczynia) słodkim, przegotowanym, zianem mlekiem; przykrywszy je lekko czystym papierem, stawia na całą noc w chłodne miejsce; nazajutrz w tem samym mleku (które obecnie przedstawia się w postaci gęstego, ciemnego soku) gotuje się je na wolnym ogniu i postępuje dalej, jak powiedziano wyżej. W ten sposób przyrządzone grzyby smakują jak świeże, niektóre zaś gatunki — lepiej jeszcze.

Zbyt twarde części grzybów, niezdatne do gotowania, jak przyziemne części trzonków i t. p., poddawać należy suszeniu (po pokrajaniu ich na małe kawałki); suszone dokładnie i zmielone, dają doskonały proszek grzybowy do zaprawiania zup i sosów.

Feliks Teodorowicz.

**Kto chce uniknąć przykrości, wynikających z nie-
udania się Święconego, niech nabędzie
książeczkę p. t.**

„Ciasta Wielkanocne”

**która podaje łatwe i niekosztowne sposoby
przyrządzania ciast.**

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99,
po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O.
T-wa Wydawniczego „Bluszcz” Nr. 13.555.



MÓZDZEK Z JAJKIEM.

Potrawę tę podaje się w dużych tygielkach, lub bardzo głębokich muszelkach. Na sześć osób bierzemy trzy mózdzki cielęce i sześć małych jaj bardzo świeżych. Mózdzki należy wymoczyć przez godzinę parę w zimnej wodzie, aby móc z nich łatwo usunąć pokrywającą je krwawą błonę. Włożyć je w mocno osolony i zakwaszony octem wrzątek. Gotować od chwili zagotowania minut dziesięć. Wyjąć durszlakową łyżką na sito, przykryć serwetką, aby, stygnąc, nie ściemniały. Muszelki lub tygielki wysmarować masłem, wysypać bułeczką, włożyć do każdego połowę mózdzku, przycisnąć mocno środek, aby uformować głęboki dołek. Wbić w te dolki po jajku, uważając, aby się mieściły całe i miały żółtka nie przygniezione. Osolić jajko, lekko popieprzyć, posypać grubo parmezanem lub zwykłym zielonym serem i wstawić do pieca na parę minut, aby jajka się ścięły, a ser rozpuścił. Podawać na gorąco na śniadanie, lub jako przekąskę po wódecie.

DORSZ LUB SUM SMAŻONY W CIEŚCIE.

Na tę potrawę trzeba brać rybę mało ościstą i dającą się pokrajać w cieniučne plastry. Trzy ćwierci kilo dorsza lub suma pokrajać na półcentymetrowe płatki, rozmiaru dużego kotleta lub sznycla, osolić, popieprzyć białym pieprzem. Z dwóch żółtek i szklanki mąki zrobić na wodzie ciasto nieco gęstsze, niż na zwykłe naleśniki; nie zapomnieć go osolić. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z ciastem. Maczać w niem rybę i smażyć na bardzo obficie roztopionym smalcu lub maśle, z dodatkiem oliwy, aby się ciasto nie przypalało. Podawać z czystym sosem pomidorowym, lub też z ćwiartkami cytryny. Można też tak usmażoną rybę obłożyć jakąkolwiek jarzyną: groszkiem, szpinakiem, marchewką i t. p.

OWOCE W GALARECIE.

Można użyć na to prawie każdego owocu, zakonserwowanego w słojach szklanych „Weck“[®], lub też kupionego w blaszankach. Kilka gatunków owocu, umiejętnie zmieszanych, daje nowe kombinacje smakowe, tak przez gastronomów poszukiwane i cenione.

Na galaretkę najpraktyczniej wziąć gotowy preparat krajowy, jednak prawdziwie polski, unikając szeroko reklamujących się produktów niemieckich. Metoda przyrządzania będzie zawsze ta sama: Owoce, wyjęte z syropu, ułożyć w ładnej kryształowej salaterce. Syrop dodać do galarety i stygnącą zalać owoce, wynieść na chłód i podać zastygnięte w tem samym naczyniu. Kombinacje, wypróbowane przezemnie i które mogą polecieć, są następujące: morele, melon i galaretka poziomkowa. Gruszki, czereśnie i galaretka ananasowa. Gruszki same i galaretka malinowa. Renkludy i galaretka cytrynowa z dodaniem łyżki araku lub rumu.

Takie owoce w galarecie można przyrządzić nawet na spirytusowej maszynie, co daje możność osobom, nie prowadzącym własnej kuchni, urozmaicenia takim smacznym daniem monotonnych kolacyj, składających się z wędlin, ryb wędzonych, serów i konserw.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani J. B. — Brwinów. Roboty kilimów nauczyć się można w szkole Przemysłu ludowego: Tamka 1, w Warszawie.

Pani A. N. — Grudziądz. Pomimo odpowiedzi, danej w jednym z poprzednich numerów, nadmieniam, że o źródła

główek do lalek dowie się Sz. Pani w pracowni lalek pod firmą M-me Jeanette (Piękna 43).

Pani S. Milerowa — Łódź. Jeżeli osoba, o której Pani wspomina, lubi „Przyjaciela dzieci“, może go mieć, bo wydawnictwo to wznowiono, tak jak i „Wieczory rodzinne“ (ulica Podwale Nr. 3, w Warszawie).

Pani Z. Kto. — Sapolno. W ostatnim numerze „Bluszczu“ podany jest sposób rozmrażania jarzyn i owoców, co nie rozwiązuje kwestji dalszego przechowania. Sądzę, że, rozmroziwszy, najlepiej wysmażyć jabłka na marmeladę. Zastosowawszy tabletkę benzoesu na 2 litry marmelady, można długi czas przechowywać ją usmażoną z małą ilością cukru. Na papatacze przepis znajdzie Sz. Pani w jednym z najbliższych numerów na właściwym miejscu.

Pani W. Ch. Gotowanie mydła domowego zanikło zupełnie, wobec dobroci i taniości tego produktu fabrycznego. Posyłam Sz. Pani sposób dobry i łatwy, używany dawniej w gospodarstwach wiejskich: 8 kilo łoju, 1 kilo 20 dk. sody kaustycznej rozpuścić w 10 litrach wody, mięszać i gotować, aż się połączy, poczem dodać jeszcze połowę poprzedniej proporcji wody i gotować znowu, dopóki nie zgęstnieje. Wlać w formy i wystudzić. Gdy stwardnieje, pokrajać w kawalki.

Pani z Dębina. Rękawiczki zamiszowe pierze się w letniej wodzie w rozgotowanym mydle. Dokładny przepis znajdzie Sz. Pani w „Życiu praktycznym“ Nr. 47: „Jak nosić i przechowywać ubranie“.

Pani S. J. Sądzę, że Ojeów byłby wymarzony: znajdzie tam Pani wszystkie żądane warunki. Obrusy znaczą się w środku, o 20 cm. nad talerzem. Łóżka ścielą się zwyczajnie z poduszkami na wierzch; najmodniejsze są nie łóżka, lecz tapczany, w które chowa się pościel. O kursach gospodarczych znajdzie Sz. Pani wiadomość w zeszłym numerze „Bluszczu“.

Zachwył — radość — entuzjazm wzbudzają pięknie zdobione pisanki na stole wielkanocnym


Wzory rysunków, oparte na motywach ludowych, przepisy zdobienia niemi jajek, oraz dane historyczne, dotyczące powstania pisank i związanych z niemi wierzeń ludu — znajdziecie w zeszycie „Życia Praktycznego“

p. t. „PISANKI“

Cena zeszytu 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Nabyć można w Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Plac Zamkowy 99. Konto P. K. O. 170. oraz we wszystkich większych księgarniach.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENSJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY CZOPKI „VARICOL”
HEMOROIDALNE
USUWAJĄ BÓL, SWEDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“ Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239.40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rybarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Podróżniczka—w odpowiedzi P. H. P. z Królewskiej Huty.

Znalezienie odpowiedzi na pytania, postawione przez panią H. P., jest rzeczą pierwszorzędną w życiu większości kobiet. Ileż to dziewcząt, nieraz pozbawionych światłej i życzliwej rady, głowi się nad temi pytaniami, i jakby im się przydały zdania kobiet doświadczonych a umiejących wnikać w duszę i potrzeby młodych. Z myślą o tych drogich memu sercu młodych dziewczętach, z troską o ich szczęście, spróbuję odpowiedzieć.

„Dlaczego tyle kobiet wartościowych nie wychodzi zamąż“? Czasem dlatego, że tak postanowiły. Często jednak mają do tego wielką ochotę zamłodu, a nie mogą. Nietylko trudności majątkowe lub zawiąkania rodzinne stają na przeszkodzie. Są kobiety bardzo wartościowe, które jednak mężczyznom się nie podobają. Dlaczego? Dlatego, że w ich charakterze lub powierzchowności jest coś, co mężczyzn odpycha. Co mianowicie?

Wszystko, co się nie zgadza z ideałem „słodczy niewieściej“ czyli łagodności i pogody, który większość mężczyzn nosi w głębi swej psyche.

A więc nie lubią mężczyźni kobiet zarozumiałych na punkcie wykształcenia i rozumu, boją się spostrzegawczych i obdarzonych krytycyzmem, uciekają od zgryźliwych malkontentek i stękających ofiar losu.

Natomiast nie stronią bynajmniej od gąsek, a brak inteligencji i kultury umysłu nie jest wadą w ich oczach, o ile chodzi w parze z powabem niewieścim. Przeciętny mężczyzna chce imponować i niechętnie uznaje równość lub wyższość intelektualną kobiety, chyba, że okupi ona te „winy“ przez nadzwyczajną skromność, wyrozumiałość i ustępliwość wobec swego pana i władcy.

Dalej, nie lubią mężczyźni kobiet, które nie dbają o swój wygląd zewnętrzny, czeszą się nie do twarzy, ubierają niestarannie lub, co gorsza, zaniedbują schludność. Znam wypadek, kiedy na tym punkcie rozwiało się pierwotne uwielbienie dla bardzo niebrzydkiej i sympatycznej osoby.

Są też wartościowe pod każdym względem i nawet bardzo miłe stworzenia, które jednak na zamążpójście nigdy liczyć nie powinny, a to z powodu braku zdrowia. Mężczyzn odstrasza „kwękanie“, a nawet pozory zewnętrzne wątłego zdrowia, jak zbyt

szczupłość, koścista budowa lub bladeść. Zauważyłam, że wolą oni raczej pulchne i okrągłe, niż chude kobiety, przytem dobrze, t. z. proporcjonalnie zbudowane, w miarę ruchliwe.

„Jaki typ kobiet najbardziej się podoba mężczyznom i wychodzi zamąż“? Analizując bliżej ideał kobiety, wytworzony przez mężczyzn, dochodzimy do wniosku, że jego podstawą są cechy, związane z macierzyństwem: zarówno fizyczne, jak i moralne zalety dobrej matki. Stąd upodobanie do powabnej okrągłości kształtów, do słodczy usposobienia, stąd też postawienie na drugim planie sprawy wyższej kultury umysłowej.

Takie są z podświadomej głębi instynktu płynące upodobania przeciętnego, normalnego mężczyzny.

Oczywiście, są typy bardziej subtelne, i te sobie tworzą wyższe ideały; są i typy bardziej pierwotne, o niższym odpowiednio poziomie wymagań. Gdy więc jedni szukają słodczy niewieściej w najwyższym wyszlachetnieniu ofiarnej miłości, to dla drugich wystarczają zewnętrzne jej pozory. Gdy jedni ukochają słoneczność duszy, płynącą z idealnych źródeł, inni zachwycą się „wesołą kobietką“ o hałaśliwym śmiechu i niewymuszonych gestach, których motorem jest jedynie zdrowy, sangwiczny temperament. I tak dalej. Poza tem istnieją mniejsze lub większe indywidualne odmiany ideału, zależne od środowiska, narodowości, charakteru i t. p., a trudne do określenia. Kobieta o wyrobionej intuicji sama je odgadnie w każdym poszczególnym przypadku.

Oczywiście, są jeszcze gusta typów zblazowanych lub zgoła zwyrodniałych — lecz poco je analizować?

Trudniej jest odpowiedzieć na pytanie „Jakie kobiety są najszczęśliwsze w związku małżeńskim“?

Zdaje mi się, że te, które potrafiły dobrze wybrać męża i trwale go do siebie przywiązać. Do tego, prócz „kobiecości“, trzeba jeszcze rozumu i pewnej dozy energii.

Dobrze wybrać potrafi tylko ta, która się zdoła na trzeźwy sąd i odpowie sobie na pytanie: „Czy może być dobrym mężem, dobrym ojcem, ten, który zaczyna mi się podobać“?

Utrzymać zaś swe szczęście zdoła kobieta wtedy, gdy nietylko pełni z poświęceniem swe obowiązki żony i matki, ale i nie zapomina o swej godności i stoi na straży praw, jakie jej przysługują.

**P. Czesława Bezegowa—Brześć nad Bugiem.
w odpowiedzi na artykuły P. Jezierskiej
i P. Kondyjowskiej-Odrowąż.**

Byłam najmocniej przekonaną, że po artykule P. Jezierskiej p. t. „Trzeba przemówić“ odpowiedzi sypną się, jak z rogu obfitości.

Ponieważ nie czułam się kompetentną do zabierania głosu w tej kwestji — milczałam, czekając z niecierpliwością na ożywioną dysputę, która — jak przypuszczałam — zawrze w „Mównicy“. Ale cisza panuje dotychczas, ogromnie przykra cisza. Więc ja zgłaszam się do głosu — chociaż napewno nie potrafię się wypowiedzieć „fachowo“ i sprawę tę mogę traktować tylko z punktu widzenia przeciętnie inteligentnej kobiety.

P. Jezierska poruszyła sprawę — bodaj czy nie najważniejszą dla współczesnej kobiety, gdyż dopóty kobieta nie będzie człowiekiem, dopóki nie będzie honorowo odpowiedzialną. Nawet wybitna inteligencja czy najwyższe wykształcenie nie dadzą jej patentu na człowieczeństwo. Czy to nie jest smutnie śmiesznem, by za kobietą - lekarzem, czy doktorem filozofji musiał dreptać mąż, brat lub ojciec, aby w danej chwili wyłonić się, jak anioł stróż i obronić ją „męskim ramieniem“, którego ona do „oparcia“ w życiu wogóle nie potrzebuje?

Zdaje mi się, że każda — nawet mniej inteligentna kobieta, potrafi i powinna ocenić należycie doniosłość tej sprawy dla niej samej. Zrzekanie się odpowiedzialności honorowej jest dowodem tchórzostwa moralnego i braku ambicji. Zaś mała, lub żadna gorliwość w pchnięciu tej sprawy naprzód, jest przejawem niesłuchanie smutnym, dowodzi, że albo kobiety nie rozumieją wielkości tego, co im się chce ofiarować albo, co gorsze, dużo ich nie dorosło jeszcze do patentu na człowieczeństwo.

Spróbuję teraz odpowiedzieć na owych pięć pytań P. Jezierskiej.

Pytanie pierwsze brzmi następująco:

„1) Czy należy dążyć do reformy postępowania honorowego, w myśl uznania kobiety, jako honorowo odpowiedzialnej?

Trzykrotne „tak!“ z wykrzyknikiem tak donośnym, by jak trąby pod Jerycho, zburzył mur obojętności i zacofaństwa.

„2) Czy, w razie uznania pełni praw honorowych kobiety, mogą od tej zasady istnieć wyjątki i jakie?“

Obawiam się, że wyjątki będą musiały istnieć, bo cóż pocnie się z kobietami, do których godności ogólnie - ludzkiej nikt się dokołatać nie potrafi? Ale czy takie uznanie wyjątków nie będzie urodzajnem polem pod uprawę owych przysłowiowych babskich wad, plus tchórzostwo? Trudno przecież rozsegregować kobiety (według czego?) i określić ściśle, które mogą, a które nie mogą być odpowiedzialne honorowo — tylko musiałoby to zależeć (być może, że się myślę — zaznaczyłam już, że kompetentną nie jestem) od ich własnej woli.

A któż zaręczy, czy w pewnych wypadkach ko-

bieta, nawet inteligentna i uświadomiona, zbrowszy coś, nie stchórzy i nie zechce umknąć przed konsekwencjami poza bezpieczny i odwieczny mur — właśnie przez furtkę „wyjątku“, którą przepisy pozostawia otwartą? Czy nie lepiej byłoby, wobec takich możliwości, ową furtkę zatrasnąć i zamurować jaknajszczelniej?

Nie wiem — i bałabym się sama o tem decydować.

„3) Jaka forma udzielenia i uzyskania satysfakcji byłaby najodpowiedniejsza dla kobiety?“

Na to pytanie odpowiedzieć nie potrafię. Ale sądzę, że forma ta powinna być jaknajbardziej uproszczoną, bez całego chińskiego ceremonjału kodeksu honorowego męskiego, no i możliwie łagodna.

„4) Czy i jak należałoby rozciągnąć tę formę na ogólną metodę postępowania honorowego, dla zniesienia obyczaju pojedynków?“

Myślę, że to byłoby bardzo pożyteczne dla ogółu. Ale w jaki sposób dałoby się to uskutecznić — przedewszystkiem jak zwalczyłoby się tem kolosalną falę protestów, która podniosłaby się przeciw temu projektowi ze wszystkich stron? — nie umiem sobie wyobrazić.

„5) Jak popierać idee i prace Ligi Reformy Postępowania Honorowego, świeżo obecnie związanej?“

Przedewszystkiem Liga musi wejść w kontakt ze wszystkimi klubami i stowarzyszeniami kobiecymi — a „Rodziną Wojskową“, — jako inicjatorką tejże Ligi i stowarzyszeniem, najbardziej chyba ze wszystkich innych rozgałęzionem — przedewszystkiem.

Niech kluby prowadzą propagandę w swoich kołach i na zewnątrz. Szerszy ogół należy powiadomić o Lidze i jej celach drogą odczytów czy meetingów kobiecych. Niech wszystkie pisma kobiece zsolidaryzują się i wydadzą jednodniówkę, poświęconą tylko Lidze. Niech wypowiedzą się w niej wielkie kobiety polskie, które łatwo uprosić można będzie o artykuły w tak ważnej sprawie.

Zrobić taki ruch i gwar, ażeby dotarł nawet do najubożniejszych i najbardziej oddalonych od spraw publicznych.

Wiem, że wszystko, co napisałam, jest zbyt proste — ale może dopnę przynajmniej tego, że niewiasty, oburzone dyletantwem moich wywodów, chwycą za pióro i zawstydzą mnie mądrością i uczonością swoich racyj. Będę wówczas szczerze i ogromnie zadowolona.

W sprawie „Przystani dla desperatów“ chciałam powiedzieć, że zarówno projekt P. Podhorskiej - Okołów, jak i sposób na zrealizowanie tegoż P. Kondyjowskiej - Odrowąż są prześliczne i nie wątpię, że wszystkie Czytelniczki „Bluszczu“ z radością zrzeszą się i ofiarują ową drobną, a tyle w tym wypadku znaczącą kwotę jednego złotego miesięcznie, by stać się założycielkami owej „Przystani“ (ta nazwa ma w sobie coś nieomal mistycznie pięknego...) dla straszliwej nędzy ludzkiej materialnej i — jeszcze straszliwszej — moralnej.

Łodzianka w odpowiedzi p. J. Jezierskiej.

Kwestja wyrównywania szczerb na honorze z bronią w rękę — zdaje się być przesądzona.

Życie samo anuluje zapłatę krwią w draśnięciach przez złośliwość czy głupotę ludzką.

Oslawiony kodeks Bozewicza nie może być alfą i omegą honoru.

Bo też ażwrotnie wygląda opinja Bozewicza, że satysfakcję honorową może dać tylko „urodzony“, albo z odpowiedniem wykształceniem, albo na stanowisku.

Jeśli mię obrazi osobnik, który nieodpowiada tym „szczeblom“, no, to mam się uważać za nie obrażoną, tylko skrzywdzoną?

O ile zauważyłam, rozglądając się wśród kobiet, to naogół słabe mają poczucie odpowiedzialności własnej, ale sędzę, że to się z czasem wyrobi, poprostu tak, jak poczucie odpowiedzialności za zrobiony bilans, uszytą sukienkę — postawioną choremu djognozę.

Bardzo dobrze się stało, że w Warszawie zawiązała się Liga. Może zwalczy nierozsądne pojedynki i wymyśli bardziej nowoczesny sposób dawania satysfakcji.

Uważam też, że obecnie kobiety o wiele mniej plotkują, a temsamem dają mniej powodu do obraz. Podnosi się ogólny poziom kultury człowieka, wyrabia się więc większa wstrzemięźliwość w mowie i dyskrekcja w postępowaniu.

Z wojskowymi trudna sprawa, bo kto przy szabli — to już inaczej nie wypada... ale może i do nich z czasem precyzyjnie się duch demokracji?

Czyż głupota ludzka tak wielkie winy tworzy, że tylko krwią zmasać je można?

L. Wojciechowska z Wojciechowiec w odpowiedzi p. M. Kondyjowskiej — Odrowąż.

W numerze 4-ym „Bluszczu“ ukazał się artykuł p. Stefanji Podhorskiej — Okołów pod tytułem „Przystani dla desperatów“, w numerze zaś 6-ym, jako żywy oddźwięk na powyższy artykuł, czytamy w „Naszej Mównicy“ głos p. Marji Kondyjowskiej — Odrowąż, wzywający Czytelniczki „Bluszczu“ do czynu — do zrealizowania, rzuconej przez inicjatorkę „Przystani“, inicjatywy. Zadaniem „Przystani“, ma być udzielanie doraźnej pomocy niedoszłym lub uratowanym samobójcom, przez wywieranie moralnego i krzepiącego wpływu na desperata, oraz przez wyśzukanie mu odpowiedniej pracy.

Myśl głęboka, piękna, godna intensywnego poparcia, względnie bliższego omówienia, tymczasem na gorący apel p. M. Odrowąż, żaden głos w sprawie „Przystani“ nie wpłynął dotąd do „Mównicy“. Co do mnie, to o ile większość Pań wniosek uchwali i ktoś na miejscu przyjmie na siebie obowiązek utworzenia tej instytucji, chętnie się zgadzam na opodatkowanie się miesięczne w sumie ogólnie przyjętej, uważam przytem, iż ze względu na zastraszającą ilość sa-

mobójców doby obecnej, wartoby się jednak w tej sprawie liczniej wypowiedzieć.

Wprawdzie wielką przeszkodą w porozumieniu się, choćby piśmiennem, były wyjątkowe mrozy, śnieżyce, zawieje, a więc trudna komunikacja, zwłaszcza na wsi, oby jednak tylko takie przeszkody istniały — niech to zimno fizyczne, paraliżując do pewnego stopnia nasze życie zewnętrzne, nie krępuje polotu naszych myśli, gorącej ofiarności serc, a przedewszystkiem żądzy czynu!

P. Marja Szarkowa — Ujkowisce pod Przemyślem — w odpowiedzi P. Zofji Persowskiej.

Hasło rzucone przez Panią, droga, nieznaną mi siostrze — nawołujące, by kobiety stworzyły ze zrzeczeń swych „ogniska siostrzanego ciepła i zrozumienia“ jest tak aktualne i przepiękne, że należy je głosić nieustrudzenie, aż do momentu zrealizowania.

Kobieta dzisiejsza — to istota, wyzwalająca się z krępujących ją powijaków narzuconej prawodawstwem, nieświadomości, z więzów sugerowanego jej sztucznie — niedoświadczenia i niezdarności życiowej, kobieta dzisiejsza — to twór przejściowy, którego imię „eksperymentalny lot w zwyż“ do granic nieokreślonych jeszcze dokładnie, do sfer nieujętych jeszcze mianem konkretnem. Kobieta dzisiejsza — przetarłszy oczy z długowiekowego snu intelektualnego — przeżywa moment zdumienia i wstrząsu psychicznego, w którym zadaje sobie pytanie: od czego mam zacząć swój pracowity dzień wyzwolenia?

I chociaż przenika ją radość serdeczna z uzyskanej po wiekach upodlenia godności ludzkiej, choć przejmują ją słuszna duma, gdy przegląda myślą bilans swego dorobku intelektualnego, niezwykle zaszczytny w stosunku do czasu rozpoczęcia pracy, jednak na tem słońcu są plamy...

Nigdy zapewne wewnętrzna udręka ducha kobiecego nie miała tego wysokiego napięcia, jak obecnie. I choć widzimy tak często triumfującą sylwetkę zwycięskiej, uśmiechniętej chłopcicy, czy innej, świadomej siebie istoty płci żeńskiej, choć słyszymy fascynujące pochwały niezależności i swobody, łatwo poznać, że kobieta nie odnalazła jeszcze ostatniego wyrazu swej orientacji życiowej. Wewnętrznie jest pełna najgłębszego smutku i rozterki...

Bo dopiero dziś, gdy intelekt jej wzbudził się do świadomości, przyjrzał się należycie sobie i pojął czem jest: „oto jednym, gorącym, tętniącym sercem“. Prawdziwe życie kobiety, to życie jej serca.

Kochając i czując się kochaną, stwarza dziwy szczęścia naokół siebie, wypromieniowuje potężne kalorie ciepła i dobra, w którym jej otoczenie kąpać się może, jak w źródle ożywczym.

Gdy jest kochaną, wszędzie jej dobrze, nie jest dla niej trudnem, ani niemożliwem. Z uśmiechem poniesie choćby najcięższą ofiarę. Miłość jest więc najoczywistszą treścią istoty kobiecej.

Ale cóż począć w dzisiejszych czasach i warunkach „z tem pulsującym żywą krwią sercem“? Lata uciążliwych studjów, potem praca zawodowa, zruty-nizowana, często mechaniczna i beznadziejnie szara — oto los wielu kobiet.

Gdzież w owych okolicznościach zużyć skarby swych uczuć, co owinąć w płomienie swego serca? Małżeństwo, które jest udziałem pewnej grupy kobiet, niezawsze zaspakaja ów głód serca niewieściego. Zakulisowe historie małżeństw przestały być tajemnicą i wie to już nawet podlotek (niestety!), że wierności małżeńskiej nie bierze żaden mężczyzna na serjo. Jest to również powszechnie znanym pewnikiem, że „podwójna moralność“ mężczyzny obowiązuje go nietylko do ustawicznego okłamywania kobiety, a często do udreżania jej ponad wszelką miarę. To, że żona do czasu jest jego królową, nie ratuje jej nigdy od najbrutalniejszej detronizacji, po wygaśnięciu pożądania.

Małżeństwo, to męczeństwo — mówi popularne przysłowie — a choć kobieta dzisiejsza protestuje w każdej formie przeciw deptaniu jej duszy, niemniej jednak niedola jej nie zmniejszyła się. Wie o tem, że jest zdradzana i okłamywana, a więc nie czując się kochaną, nie może płonąć uczuciem — choćby je wniosła do małżeństwa. A jak znowu czcić moralne walory tego, który świadomie i cynicznie łamie przysięgę i drzwi z obowiązków, dobrowolnie przyjętych?

Więcej wartościowi mężczyźni sami uznają, że kobietę od wieków spotykała krzywda, która dotychczas nie jest wynagrodzona!

Dzieci — to był dawniej ołtarz ofiarny — na którym spalało się umęczone serce kobiety. I dziś dziecko jest dla niej skarbem, najdroższym, ale czasy obecne wniosły tragiczny konflikt nieporozumienia duchowego między dziećmi i rodziców.

Bystry i przenikliwy krytycyzm, który cechuje młodzież, pozwala jej łatwo odgadnąć absolutną sprzeczność dróg matki i ojca, oraz brak nici uczuciowej, łączącej osoby życiodawców. Najczęściej dziecko staje początkowo po stronie silniejszego ojca, gdyż dopiero w starszym wieku może zrozumieć prawdę. Życie matki jest więc dziś więcej niż kiedykolwiek „kołem udreżceń“.

Lecz w każdym razie, gdy ma dziecko, serce jej pełne jest tej istoty ukochanej bezgranicznie i męka bytu daje się łatwiej znieść.

Niestety — wzrasta dziś zastraszająco falanga kobiet bezdzietnych. I te właśnie, popycha ból okaleczonego nieustanną samotnością serca, do szukania jakichś dróg, na których można siać kwiaty miłości. Najgorsze antidotum na chorobę serc znalazły propagatorki flirtów i miłostek. Czyż nurzanie się w bagnie może zastąpić kąpiel w ożywczej, przeczystej krynicy? Czyż błoto może nie urażać głębin duszy wznioślejszej i pięknej?

Uczucie to budzi się dziś powszechnie wśród kobiet wyższego umysłu. Gdy zatem oglądają się niemal bezradnie, o co zahaczyć uczuciem na tej zbyt smutnej ziemi — i gdy nie każda jest zdolną sięgnąć sercem po Ideał Najwyższy, w takim razie najlepszym środkiem w kobiecej walce „o jutro“ byłoby zadzier-

gnięcie prawdziwie siostrzanego węzła pośród siebie. Tworzyć kadry kobiece, oddane sobie uczuciowo, solidarne w pomocy wzajemnej i dbałe o ciągłe doskonalenie się, oto cel, godny wypełnienia.

Jak świadczą artykuły w „Mównicy“, znamy nasze główne wady: ową zjadliwą zawiść, wiodącą do plotkarstwa i innych małodusznych wyczynów. Próbujmy otrząsnąć się z tego i obejmijmy sercem wszystkie siostry, bo każda z nich cierpi. Myślmy o każdej innej kobiecie: „moja biedna siostrze, wiem jak dużo brakuje ci do szczęścia, wiem, ile łkań rozpacznych skrywasz przed światem, współczuję ci, bo cię rozumiem, pomogę ci, ile będę mogła“.

Gdy kobieta wyzbędzie się nareszcie w stosunku do swych sióstr odruchowej odrazy wynikłej z odwiecznej rywalizacji o niewierne serce mężczyzny, wówczas jej całkowite odrodzenie moralne, a w ślad zatem intelektualne, pójdzie w błyskawicznym tempie.

Głośmy więc hasła zrzeszeń kobiecych, miłości czynnej i przyjaźni trwałej. Tylko miłość siostrzana, w duchu bożym pojęta, rozwiąże zawikłaną kwestję kobiecą i da nam, szermierkom, trudzącym się tak długo w krwawej walce o swe ludzkie prawa — zwycięstwo.

P. K. M. — Biała Podlaska

Spieszę podzielić się z czytelniczkami „Mównicy“ wiadomością o dokonanej u nas dobrej inicjatywie społecznej.

Dnia 3-go lutego została otwarta i poświęcona w Białej Podlaskiej na Woli, Stacja Opieki nad matką i dzieckiem, urządzona staraniem powiatowego Komitetu Opieki nad matką i dzieckiem, na czele którego stoi ruchliwa i energiczna miejscowa starościna p. M. Bobkowa. Żywy współudział i fachową pomoc przy zakładaniu okazała miejscowa doktorka szkolna, p. M. Denhoff - Czarnocka. Poradnia ma na celu uświadamianie matek o zasadach higieny od chwili rozpoczęcia ciąży aż do 3-go roku życia dziecka, dawanie wskazówek, porad i pomocy lekarskiej, oraz rozdawnictwo mleka sterylizowanego niemowlętom, za pewną opłatą, biednym darmo.

Porada lekarska kosztuje 50 gr. miesięcznie. Matki i dzieci mają zapewnioną opiekę wykwalifikowanej pielęgniarki.

Jako dalszy ciąg umiejętnego uświadamiania matek, odbywać się będą w poradni odpowiednie pogadanki.

Ta nadzwyczaj potrzebna instytucja czerpie fundusze z dobroczynnych ofiar i opodatkowania się społeczeństwa bialskiego, oraz zasiłków władz samorządowych. Inicjatorom i organizatorom życzymy serdecznie pomyślnego rozwoju tak pożytecznej placówki: oby jaknajprędzej mogła powstać druga stacja w mieście, aby inne matki mogły korzystać, tak, jak robotnice z Woli, z porad i pomocy.